



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.



Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycja główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwar-
talnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i użytecznych, kwartalnie:
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22 1/2,
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22 1/2.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYE MARRENÉ

(Morzkowską).

II.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 71).



Stach z matką spoglądali na niego ze współczuciem.

— Darujcie, wyrzekł po długiej chwili, w której zdawał się pasować z siłą wspomnień: po co o tym mówić? czasem mijają dni i tygodnie, nie wspomnę—tylko tutaj w tej wiosce, wszystko wróciło mi do pamięci.

— Oj dziadku! odezwała się Dąbkowa, rozumiałem ja co was boli.

— To już minęło, szepnął starzec, przesuwając dłoń po oczach; na co myśleć o tym co się nie odmiennie? to także dopust boży, ale trzeba było wyznać nieszczęście, by drugich nie spotkało.

Spojrzał w około weselszym okiem, i uważnie zaczął się przyglądać Stachowi.

— Ej chłopcze! wyrzekł: mnie się widzi, że tobie pilno wybiedz z tej chaty jak ptakowi na wiosnę. Spotkałem ci ja pod lasem bladą dziewczynę, jak płakała spoglądając w tę stronę, może ty wiesz czego? Puśćcie go Dąbkowa, niechaj

idzie gdzie go serce ciągnie. Ono to podobno jest najlepszym swatem.

Uśmiechnął się, jakby w cudzym szczęściu znajdował pociechę na własne bole.

Stach nie dał sobie tych słów dwa razy powtórzyć. Scisnął kolana matki i pobiegł ku lasowi. Zapewne łatwo uzyskał przebaczenie za to, czego Hanka winą nazwać nie chciała; zapewne szybko płynęły im chwilę i mieli sobie wiele ważnych rzeczy do powiedzenia, bo dopiero o zmroku wrócili razem do wsi. Usta ich szeptały słowamiłości i nadziei, a oczy wtórowały im spojrzeniem.

Obojgu zdawało się, że nad ich głowami przeszła jakaś burza groźna i pozostawiła ich w spokoju, a przecież w ich położeniu nie zmieniło się nic wcale: tak jak wczoraj przyszłość groziła im rozłąką, tylko nie myśleli o tym. Bądź jak bądź, teraz musieli zdać się na los, i sami przynajmniej własnymi rękoma nie stawiać zapór pomiędzy sobą. Po tym co zaszło, małżeństwo z Maryską było niepodobieństwem; choćby Stach chciał nawet, nie mógł powierzyć tej rodzinie przyszłości swojej i matki. Ratunek ten byłby szaleństwem. Więc jeszcze kilka tygodni mogli żyć dawnym życiem, spotykać się u roboty, schodzić wieczorem przy zapłacie, lub gwarzyć razem na wieczorach u kądzieli. Dla zakochanych, którzy sądzili, że już stracili się na zawsze, to wystarczało; każdy dzień miał tyle słodyczy, że nie myśleli o jutrze.

Byli nadto szczęśliwi obecnością, a świat powleczonej smutnemi barwami jesieni, wydawał im się pięknym i świątecznym, jak gdyby nowe życie osłoniło szare kontury drzew bezlistnych, powlokło chmurne niebo purpurą, i promieniało w mglistych zarysach widnokręgu, ginących wśród obłoków. Cisza listopadowego wieczoru pełna była w ich uszach radosnych dźwięków; zdawało im się, że majowe słowiki rzucały echem leśnym pieśni miłości, wtórowały im miryady je-

stestw, nócąc hymn szczęścia, życia i wesela. Hymn ten brzmiał tylko w ich duchu.

III.

Wickowa z chaty Dąbków biegła prosto do Plaskotów. Oczekiwano jej tam z wcale innem poselstwem. Chatę wymieciono i uprzątniono starannie, ojciec i matka siedzieli u komina, na którym paliło się suche łuczywo, rzucając jasny blask na ostrą twarz kobiety i na dobroduszną ciężkie rysy jej męża. Z samego zestawienia wyrazu twarzy tych dwojga ludzi łatwo było zrozumieć, kto był głową domu. Plaskota zawsze we wszystkiem słuchał swojej żony, ona rządziła gospodarstwem, ona zawiadowała zewnętrznemi interesami, chatą, groszem, dobytkiem. Co prawda, mąż na tym złe nie wychodził, przecież czasami zwłaszcza po kieliszku buntował się przeciw wszechwładnej woli swojej Połoski. Działo się to jednak cichaczem, pokątnie, rzadko bardzo w obliczu samej gospodyni, która umiała energicznie poskramiać wszelkie zachcianki niepodległości, i z zimną energią zawsze postawiła na swoim. Dawniej musiały się pomiędzy małżeństwem toczyć zacięte walki o pierwszeństwo; skończyły się one jednak ostatecznym pokonaniem słabszej intelligencji i mniej wytrwałej woli: Plaskota uległ. Pomimo tego, żona nie lubiła przyprowadzać go do ostateczności, w domowych sprawach nie zwierzała mu się ze wszystkiego, nieraz wołała pomijać zupełnie jego zdanie, działać według własnej inicjatywy, niż narzucać mu przebojem swój sposób widzenia. Mąż więc najczęściej nie wiedział co się działo w domu, i nie dopytywał się o to nigdy.

Ale jeśli Plaskocina samowładnie rządziła mężem, za to sama ulegała w zupełności wpływowi Maryski, która zwyczajem zepsutych dzieci robiła z matką co chciała. Maryska była to zarozumiała dziewczyna, sądziła się mędrszą od całego świata, dla matki miała skryte lekcewa-

zenie, a przyniesieniem lub płaczem umiała zyskiwać zawsze jej przyzwolenie na swoje fantazje.

Teraz Maryska przystrojona piękniej niż rano, czekała niecierpliwie Wickowej, gotowa z jej rąk przyjąć wódkę i wypić ją bez namysłu. W tej chwili zapomniała najzupełniej o płochych miłostkach swoich z dworskim pisarzem, i rada że się do niej zwrócił najpokazniejszy parobczak z okolicy, była zupełnie zadowolona. O przyszłość się nie troszczyła, chodziło jej tylko o to, by pójść za mąż jak najprędzej, a gdyby później Stach wyciągnął los do wojska, to pewno nie zapłakałaby się po jego stracie i znalazłaby nie jednego pocieszyciela. O wykupie ona i rodzice wcale nie myśleli, tylko tą nadzieją durzyli łatwowiernych. Zresztą któżby ich mógł zmusić do dotrzymania ugody? Oboje naradzali się po cichu o tym, jak im postępować należy; żona dawała w tym względzie szczegółowe instrukcje mężowi, gdy do izby wpadła Wickowa.

Nie miała jednak wcale urzędowej miny, jaką swatka przybrać powinna, w ręku jej nie błyszczała konieczna w tym razie flaszką z wódką, na ustach nie było przyjaznego uśmiechu. Przeciwnie oczy jej pały gniewem, w szybkim biegu chustka przekręciła jej się na głowie i zsunęła na czoło, a zarumienione policzki świadczyły o wewnętrznym wzburzeniu.

Na ten widok gospodyni powstała: spojrzawszy na nowoprzybyłą przeczuła coś złego.

— Cóż to się stało kumo? wyrzekła, zapominając że jej przecie nie wypadało o to pytać, ani narzucać gwałtem swojej córki.

Wickowa przez chwilę chwytała oddech, potem jakby czekając na kogoby swój gniew wyrzucić i pomścić tym sposobem doznane upokorzenie, spojrzała kolejno na obecnych i zawołała:

— Ha, idźcie-no i zobaczcie, kto tam siedzi w chacie u Dąbków.

Ognie przeszły po suchej twarzy Plaskociny, a jej zimne jasno niebieskie oczy wlepiły się się w mówiącą pełne trwogi i pytań.

Ale nie odpowiedziała nic, ciążyła jej obecność męża. On też widząc, że się zabiera na domową scenę, wziął czapkę i wyniósł się cichaczem, unikając narady, w której głosu mieć nie mógł i nie pragnął.

Wtedy kobieta podniosła głowę.

— Któż tam jest? spytała krótko.

Wickowa obejrzała się na Maryskę, która zbliżała się ciekawie, ale widząc, że matka się przed nią nie kryje z niczym, odparła kiwając głową:

— Oj, umarli czasem z grobu wstają na przekór żyjącym!

— Co wy mówicie? przerwała gospodyni; przecież nie ma tam...

Zatrzymała się w pół frazesu, nie wymieniła żadnego imienia, jednak Wickowa zrozumiała o kim myślała, przebiegłe jej zrenice spotkały się z oczami sąsiadki i zamigotały złośliwie.

— Czy sądzicie, wyrzekła, że dość wam było rozgłosić, że on umarł, by ludzie uwierzyli temu?

Plaskocina załamała ręce.

— Tak długo nie było o nim żadnej wieści, żadnego słyhu, nikt go nie widział—i właśnie dzisiaj w tej chwili—tam!

Słowa jej były bezładne jak myśli, przecież nie odezwała się w nich żadna iskra uczucia; nie zapytała nawet, jaki wypadek lub potrzeba przynęcała jej starego ojca do wioski, której dotąd tak starannie unikał? Czemu on, co krył opuszczenie swoje jak hańbę, teraz jawnie przyznał się do niego, i to właśnie w chacie w której ona upatrzyła sobie zięcia? Frasowała się o to, że powrót ten

był nie w porę, że ludzie obmówią ją i obgadają; jednak i to uczucie było zwichnięte zmysł jej moralny tak zupełnie był stępiony, iż martwiła się nie tem że posadzić ją można o brak serca, ale o brak zasobów. Sąsiedzi mogli podejrzewać Plaskotów, że nie mają chleba dostatkiem, skoro starego Antola wypędzili na żebranie. Myśl ta nie zatrzymała jej w chwili spełnienia złego czynu, tylko dziś dopiero przyszła kiedy chciała bogactwem kupić męża dla osławionej córki.

Prawda, że od dnia owego, gdy zatrzasnęła drzwi chaty za ojcem, majątek jej wzrósł znacznie, szczęście zdawało sprzyjać we wszystkim złej córce, dobytek się chował, zboże plonowało, praca szła na pożytek, tak, że Plaskotowie z możnych gospodarzy stali się bogaczami we wsi. Zresztą przypadek tylko zdarzył, iż sąsiedzi nie widząc we wsi Antola, pomyśleli, że poszedł do krewnych i że tam umarł; ona nie przyłożyła ręki do tego kłamstwa, powstało ono samo z siebie dla tego, że Antol nie włókł swęj biedy i żalów od chaty do chaty. Ludzie to najmniej rozumieją. Cicha boleść, krzywda zamknięta w sobie zwyczajnie uchodzi ich uwadze. Plaskocina nie przeczyła tym wieściom ani ich potwierdzała, tylko ponieważ były jej na rękę, uwierzyła im może sama najpierwsza, pragnęła, by uwierzyli im wszyscy.

Wickowa rozumiała może to wszystko, ale nie myślała wcale zadość uczynić tej nieograniczonej chęci; przeciwnie znajdowała zapewne przyjemność w drażnieniu sąsiadki, bo wyrzekła:

— Nie było go, nie było, nikt nie słyszał o starym Antolu, aż przywłókl się na koniec nie wiedzieć z kąd, na nieszczęście, właśnie w chwili kiedy ja zaręczałam Dąbkowej, że umarł od dawna, że wy temu nie niewinni.

Plaskocina zerwała się na te słowa, jakby ją kto dotknął gorącym żelazem.

— Jaktó! zawołała, więc ona podejrzewała coś?

— O moja kumo! czego też ludzie nie wysledzą! skarżyła się nieszczęśliwa swatka udając ubolewanie: kiedy się komu tak jak wam powodzi, to w oczy kłaniać się będą i uśmiechać a z boku Bóg wie co wymyślają.

— Cóż przecie? spytała gospodyni domu z zakrzonemi oczyma.

Wickowa widziała to doskonale, lecz postanowiła zapewne zemścić się za swoje zawiedzione nadzieje zysku, i mówiła dalej z fałszywem współczuciem:

— Oj, wiedzą tam o wszystkim! a nawet domyślają się schadzek Maryski z pisarzem.

Kłamała, ale teraz kłamstwo to wywarło pożądaną skutek.

Maryska, która słuchała tej całej rozmowy podparta na stole wybuchnęła głośnym płaczem, a matka położyła palec na ustach, szepejąc machinalnie:

— Ciszéj kumo, ciszéj dla Boga!

Lękała się widać, by ściany nie podsłuchiwały tajemnicy, ona sama chciała o niej zapomnieć, tak samo jak o starym ojcu; ale wszechwładza jej nie mogła zniszczyć istniejących faktów. Zrozumiała to zapewne bo wyrzekła po chwili namysłu:

— Bójcie się Boga kumo, co tu robicie?

Wickowa ruszyła ramionami. Był to dobry symptomat że żądano rady; to wzbudziło w niej nadzieję że nie straci obiecanych korzyści; jednak nie chciała, by rada wydała się zbyt łatwą.

— Alboż ja wiem? mruknęła; ludzie wam teraz nie wierzą a jam temu nie krzywa. Ktoś nagał Dąbkowej że choćby się Stach ożenił, wy pieniędzy na wykupne nie dacie, a chcecie ino tak, żeby czepek włożyła, a pisarz potem sam nastawać będzie, by mąż jej poszedł do wojska.

Były to wszystko jej własne domysły, o których ani się śniło Stachowi i jego matce; przecież usłyszawszy je Plaskocina, aż spłonęła na twarzy i spuściła oczy, przygryzając wargi.

— Oj ludzie, ludzie! szepnęła w bezsilnej złości, że jej skryte zamiary zostało odgadnięte.

Przez chwilę trwało milczenie przerywane tylko głośnym szlochaniem Maryski, aż Wickowa odezwała się znowu:

— Nie płacz moja dziewczyno, to się na nie nie przyda, szkoda twoich ładnych oczu. Było głupstwa nie robić—ale darmo, stało się—już się nie odstanie. Później ci męża znajdziemy; cóż to? czy to jeden Stach tylko na świecie?

Jednak te filozoficzne uwagi nie bardzo trafiły do przekonania dwóch kobiet; matka pokręciła głową.

— Ludzie śmiać się będą, wyrzekła, że Maryską Dąbek pogardził.

— Ludzie gorzej z Dąbków śmiać się będą, gdy na nich przyjdzie bieda zawołała Wickowa. Życzylam wam Stacha, bo to mój chrześniak, i jemu też pragnęłam dopomóc, ale i bez niego jest chłopców do licha, co wam do nóg padną za Maryskę. Tylko poczekać.

Musiała już mieć kogoś na myśli, i pragnęła podsunąć go Plaskotom, na tych samych warunkach co Stacha; gospodyni jednak odezwała się po zastanowieniu:

— Dość ja już mam ludzkiego gadania; chciałabym mu raz koniec położyć. Najgorzej jak pierwszy zalotnik dziewczynę opuści, to już o drugiego nie łatwo, bo każdy pomyśli, że w tym musi coś być.

Miała słusność zapewne, bo Wickowa wzruszyła ramionami.

— Więc cóż wy macie za sposób przyniewolenia Dąbków?

Plaskocina spojrzała na wiejską intrygantkę, i spotkała jej chytre zrenice; przez chwilę oczy ich zdawały się mierzyć, naradzać, porozumiewać.

— Ja ich nie przyniewolę wyrzekła; ale wy moglibyście ich namówić, gdybyście chcieli.

— Powiedziecie Dąbkowej, dodała po minucie przerwy: że syn jej dla tego tylko wynajduje to i owo, bo jemu w głowie Hanka.

— Mówiłam ci ja to wszystko, groziłam, prosiłam, ale nie uwierzycie jakie tam harde dusze.

(d c. n.)

Z PODRÓŻY.

III.

Dokończenie. (Ob. Nr. 71).

15 Sierpnia 1872.

Naszkicowawszy tedy ogólnie tło szczerawieckiego kąpielowego żywota, zapraszam was czytelnicy, ażebyście towarzyszyli mi na „deptak” w rannych godzinach picia wód. Ale jak tu dostać się na ów deptak — główną „promenadę” u źródła, zwłaszcza jeśli się nieudało zamieszkać przy samym deptaku na Górze? Mieszkańcy Miodziusia mają porządną kawał drogi pod górę, tem nieznośniejszej w dni gorące, że nigdzie nie ma najmniejszego cienia dla zupełnego braku drzew, o których zasadzenie nikt się dotąd nie troszczył. Przypuszczam jednak, że albo doszliśmy pieszo, albo przyjechaliśmy jednym omnibusem, który ma tę szczególniejszą własność że jakoś nigdy go niewiadać gdy po-

trzeba, albo nakoniec dostaliśmy się jednym z fiaków szczawnickich — wózkiem góralskim, którego mówiąc nawiasem w niedzielę i w święto wcale dostać nie można. Jesteśmy więc na deptaku. Najwcześniej i najregularniej stawia się u źródeł starozakonniacy; oni też, jak wieść głosi, wypijają najwięcej wody, gdyż nie widzą potrzeby żałować jej sobie „za swoje pieniądze” i wierzą, że skuteczność wody jest wprostym stosunku do spożytej ilości. Nie szkodziłoby tylko, żeby ci panowie ubierali się nieco przyzwoicij i ochędoźniej, zwłaszcza ci, którzy są w stanie to uczynić; oszczędziliby przez to innym wstrętnego widoku brudnych szlafroków, dziurawych pantofli i czarnych pończoch, które niegdyś z natury były białymi. Zmysł wzroku człowieka choć nieco wykształconego jest bardzo drażliwy i wymagania zewnętrznej przyzwoitości są w związku z estetycznym uczuciem; ludzie cierpiący są częstokroć pod tym względem drażliwsi od zdrowych, i dla tego nie zawadziłoby może umieścić na deptaku tablicę z wezwaniem ubierania się przyzwoicie, jeżeli są jeszcze tacy, którzy sami tej konieczności nie rozumieją. Podobna tablica istniała przed laty u wejścia do ogrodu właściciela Szczawnicy. Nie mogę pominąć milczeniem, że ciż panowie starozakonni tak mało dbający o swój ubiór, równie mało zwracają uwagę na innych przechodzących, potrącają, sięgają przez plecy i głowy drugich, zatrzymują się tłumnie na drodze, tamując cyrkulację i t. d. Po starozakonnych zjawiają się na deptaku prawdziwi chorzy nowego zakonu. Dla tych przechadzka przedstawia liczne niedogodności dla braku cienia, większego jeszcze braku ławek do odpoczynku i nakoniec z powodu dość znacznych gór i dolin na samym deptaku; warto byłoby pomyśleć o zrównaniu choćby tego miejsca. Trzeci kontyngens stanowi młodzież, zwana po części niesłusznie złotą, a właściwie niewiadomo z jakiego ulepiona kruszcem. Są to excelniowie drugiej lub trzeciej klasy, „obywatelscy” synowie, urzędniczy etc., którzy nosząc zaród suchot w kieszeni, zlecieli się tutaj, niby współcześni argonauci, dla zawiązania znajomości z pannami i zdobycia runa nie już złotego, lecz papierowego złożonego z bankocetli. Stawia się oni na deptaku zwykle dość wcześnie, oczekując zjawienia się gwiazd szczawnickich. Jeden z binoklami na nosie, wywiędłą twarzą i kozią bródką, zdaje się być żywcem wycięty z humorystycznych szkiców Kostrzewskiego; inny, fantastycznie „pledem” opięty, porusza się z gracją w swém spowiciu; trzeci przywdział biały ubiór niewinności i lekko a zrećnie przemyka się bokiem, ażeby się nie powalać; inni w króciutkich i lekkich pomimo porannego chłodu marynarkach ciągle z upodobaniem oglądają siebie, muskając wasiki i poprawiając kołnierzyki. Po tym zastępie zjawiają się osoby płci obojga w wieku poważniejszym, już to istotnie chorzy, już to przybyli dla towarzystwa osób cierpiących lub dla powietrza. Pomiedzy tymi ostatnimi znajdują się wrzekomi statysci — jakich w Galicyi nie brak, którzy tak są zawsze zajęci, że aż na nic czasu nie mają, i według własnego przekonania, a w gruncie rzeczy tylko cześć gadaniną, biorą udział w rozstrzyganiu losów Europy i ludzkości! Na ostatku zjawiają się różnokolorowe zastępy piękności chorych, w półchorzych, usiłujących być zdrowymi i zdrowych; opóźnienie ich tłómaczy się już to przydłuższym odpoczynkiem, zwłaszcza jeśli to po balu wczorajszym, na którym (śnaź dla wzmożenia kuracji) tańczono do 3-jej, już to potrzebą starannego wykonczenia porannej toalety (rozmaitych

nowomodnych „wetmanów” i t. d.). Pomimo porannego chłodu wiele nawet dość wstępnych istotek zjawia się na deptaku wydekoltowanych i bez okryć, dla lepszego uwidocznienia bojących i tylnych u sukien ozdób, których nazwisk niestety! nie wiem. Punkt kulminacyjny przepełnienia deptaka wypada na godz. 9; wtedy panuje tam tłok i wrzawa, a młodzież powyżej wzmiankowanego gatunku przesadza się w „emablowaniu” (wyraz szczawnicki). Tu można często posłyszeć i galicyjsko-francuzką siekaninę w rodzaju np. takich frazesów: „sądzę, że mon frère viendra bientôt, — „il y a par exemple tacy biedni ludzie” i t. d. Nazywam ten szwargot galicyjsko-francuzkim dla tego, że, o ile uważałem, posługuje się nim przeważnie galicyjska arysto- i pseudo-arysto-kracya, (wybaczcie, że naśladowuję sposób wyrażania się autora studium psycho-fizyologicznego). O 10-tej deptak zupełnie już opróżnia się, następuje śniadanie, potem zabijanie czasu czytaniem powieści z ubożego składu takowych utrzymywanego przez pana G. lub innemi sposobami, potem obiad, spacer, wycieczki, poobiednie picie wód i t. d. Niektórzy zaraz po obiedzie, zapewne dla konkocy, zasiadają do preferansa, ale zdarza się i dyabelek; jeden z tegorocznych gości celował w sztuce wygrywania po kilkaset nawet guldenów.

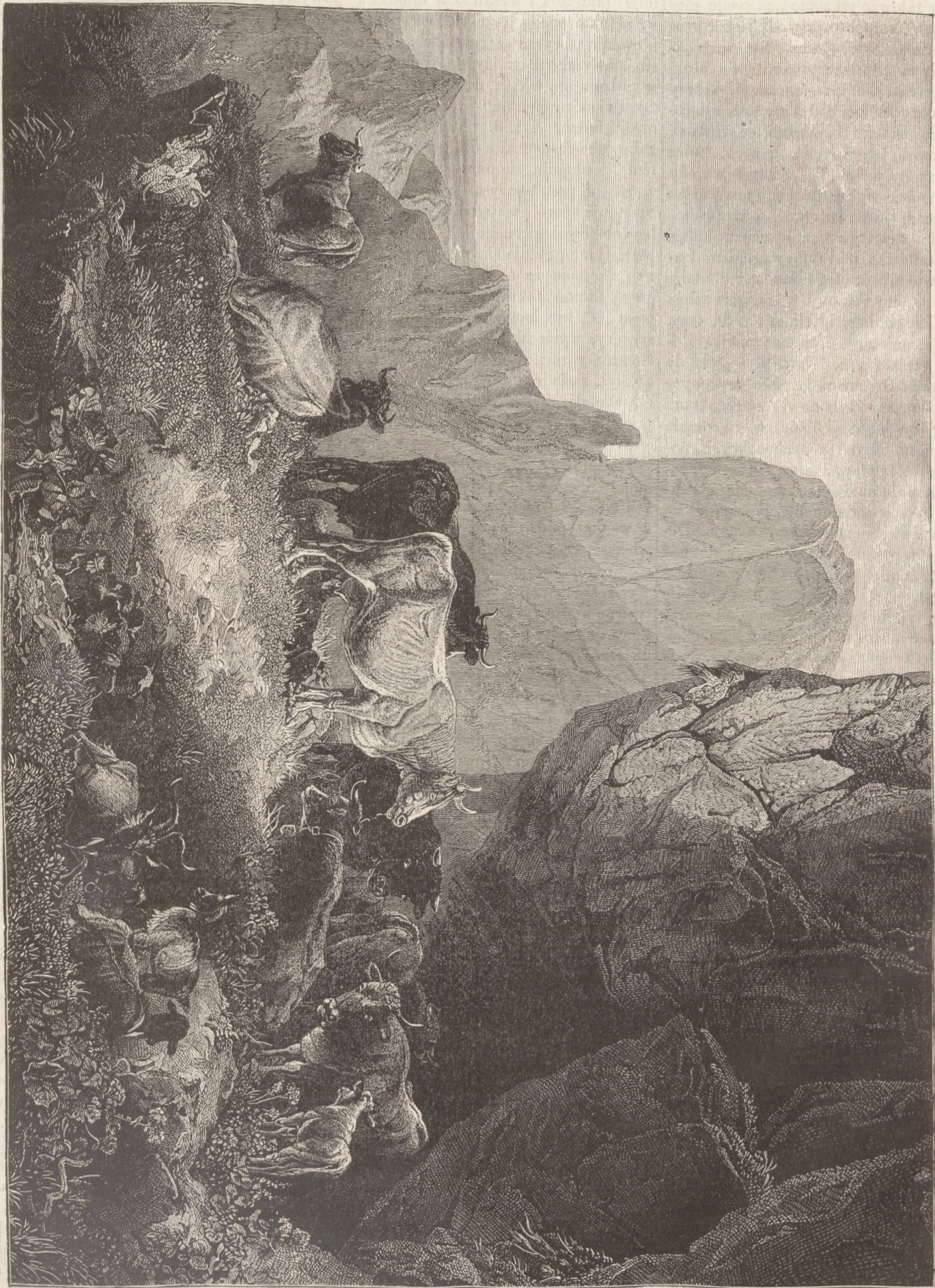
Do „głównych „przyjemności” istotnie nieco monotonnego kąpielowego życia należą wycieczki i tańce, ale mało bardzo takich, którzy umiarkowanie tym dwom przyjemnościom hołdują: po większej części jedno i drugie przechodzi w nowe i osobliwsze epidemie, które można by nazwać wycieczkomanią i tańcomanią (wybaczcie potworne nieco wyrażenia). Cierpiące na wycieczkomanię osoby rwą się ciągle już to w Pieniny, na Dunajec lub na szczyty skał, już to nawet na Tatry i do Morskiego Oka, częstokroć nawet bez względu na przerwę w kuracji, na pogodę i utrudenie. Zródłem tej choroby — zwłaszcza w płci pięknej „wolnego stanu” — jest jedynie chęć okazania się zdrowymi i usunięcia możliwego posadzenia o chorobę piersiową, — posadzenia wcale niepożądanego dla widoków matrymonialnych. Gorliwie więc „spaceruje” kto żyje, i wiele osób nawet po kilkakrotnie odbywa te same ekskursje. Tańcomania wypływa po części z tegoż samego udawania zdrowych, ale ta epidemia jest daleko silniejsza od pierwszej, gdyż potęguje ją pospolita u narodów mało cywilizowanych namiętność skakania, nieraz silniejsza od względów zachowania zdrowia i życia. Jak woda lub żentya może pomódz osobom noszącym w piersiach zaród zgubnej choroby, które w leciutkich i dekoltowanych sukienkach tańczą po całych nocach w dusząco-gorącej atmosferze przepełnionej saliki, a następnie wracają do domu w zimną noc górska, której temperatura, nawet w lipcu, często spada niżej 8° Réaumur? Dawniej owe „réuniony” odbywały się tylko raz na tydzień, a nawet często nie udawały się już to dla ociągania się pań, z których żadna nie chciała być pierwszą, albo obawiała się żeby nie być przyćmioną, już to dla braku balowych strojów. W tym jednakże roku pomiędzy dotkniętymi tańcomanią powstała niby postępową agitacją przeciwko balowym strojom, i stronnictwo tych radykalistów uciekło się do takich *coups d'état*, że improwizowało zabawę zaraz po wieczornej przechadzce i w spacerowych strojach. Ztąd tańce tak się zagęściły, że w jednym tygodniu na początku sierpnia tańczono niemal codziennie. Słynne były także bale, które adoratorowie niektórych przez siebie ubóstwianych piękności wyprawiali

na ich cześć w wigilię ich odjazdu, werbując na te bale jak najwięcej mężczyzn i dam, dla których owe boginie były najzupełniej obojętnymi. Nieprawdą, że to szczególnie rodzaj owacy?

Na ostatku pomówię nieco o „Zdrojowiskach.” Jest to pismo peryodyczne, „Tygodnik kąpielowy,” jak opiewa nagłówek, wychodzący w ilości 15 numerów w okresie kąpielowym od 1 czerwca do 15 września, pod redakcją doktorów: Lutostańskiego, Ściborowskiego i Zieleniewskiego. O ile można wnosić z 10 numerów, które miałem w ręku, jedyną istotną wartość tego pisma — wartość praktyczną — mają listy gości przybywających do Szczawnicy, Krynicy, Jaworza, Buska, Truskawca, Rabki i Żegestowa, dawniej oddzielnie drukowane, a obecnie umieszczane w szpaltach Zdrojowisk. Artykuły treści lekarskiej i higienicznej, pióra redaktorów, są nieznaczące i podawane w homeopatycznych dawkach, a część literacka — korespondencye z różnych miejsc kąpielowych — z wyjątkiem mających chwilową wartość informacyjnych i statystycznych danych, bardzo jest blaha i zdradza pewne umysłowe ubóstwo, uganiające się za dowcipem z niezbyt pomyslnym skutkiem, jak to np. widać w korespondencyach ze Szczawnicy. Niezła jest tylko Wycieczka do Szczawnicy p. Anczyca, umieszczona w odcinku kilku numerów; ułamek zaś komicznej opery tegoż autora p. t. „Duch Wojewody” (N. 8), chociaż dość udatny, zbyt jest nieznaczący, ażeby mógł dać wyobrażenie o całości, albo nawet usprawiedliwić tytuł sztuki. Dwie ostatnie stronicie każdego numeru Zdrojowisk zawierają ogłoszenia, przeważnie kopie szyldów krakowskich, zupełnie zdaniem naszym zbyt liczne, gdyż goście galicyjskich zdrojowisk, po większej części zmuszeni będąc konieczności przejeżdżać przez Kraków, mogą sami studyować te szyldy na Grodzkiej ulicy. Nakoniec, musimy wspomnieć że przydałaby się ze strony pp. redaktorów i współpracowników Zdrojowisk nieco większa troskliwość o czystość języka, mocno skażonego w niektórych korespondencyach (korp. z Rabki w NN. 9 i 10), ale głównie w listach gości przechodzącego w potworny szwargot. Lista gości zawiera, jak wiadomo, imiona i nazwiska przybywających, wraz z datą ich przyjazdu i miejscem zamieszkania: w tém wszystkim omylić się trudno; ale dołączane do nazwisk tytuły i oznaczenie profesyi zdradzają szkaradne nieuctwo układających owe listy i zawierają mnóstwo potwornych i śmiesznych osobliwości. Oto niektóre przykłady: „nadporučnik” (w N. 6 lista Szczawn.) „R. R. Lea kupczyzna” (tamże lista Kryn.): „wdowa po sędziu” (N. 7 lista Szcz.), „artysta muzyki” (tamże), „mieszkaniec miasta z Warszawy” (tamże); „kupiec zboża” (N. 9 lista Szczawn.), „zakonnik OO Paulinów” (tamże); „żona wiernika” (? N. 9 lista Trusk.), „domokrąźca” (? tamże), „właściciel jam kipiączkowych” (tamże), i t. d. Wielce komicznym wydaje się np. że jakiś kupiec nie porzastając snąc na żonie, przyjeżdża „z żoną i towarzyszką” (N. 5 lista Szcz.), a skrócenie „kucharka z towarz.” (tamże lista Kryn.) pozostawia czytelnika w wątpliwości czy należy uzupełnić — „yszem” czy — „yszką”? Sądziłismy dotychczas, że to ziemia produkuje naftę, dowiadujemy się zaś z listy gości w Trusk. (N. 8), że pan Mojżesz D. jest produkującym naftę. Mnóstwo jest jeszcze innych zabawnych tytułów, chociaż przynajmniej przeciwko językowi nie wykraczających; ten i ów ogłasza światu, że jest „kapitalistą”; jedna dama tytułuje się „wdową po b. senatorze”; inna „wdową po literacie,” a inna znowu „córką

generałowej” (czemuż już nie „generała?”); znajdują się także indywidua, z których jeden z całej skiej, używanej w Austrii nomenklatury, jak as- czytelnika, ale co się tyczy potwornych i obcych
picyent, urzędnik tabuli i t. d. Tytulatura komicz- polskiemu językowi wyrażen, jak przytoczone

Stado Krów na łące Alpejskiej. Oryginalny rysunek Voltza.



pokorą tytułuje się „sługą rabina,” a inny nawet „handlarzem chodakami.” Niemąło i cudzoziem- na, ale poprawna, niech sobie pozostanie jako
objaw naiwności lub próżności, m ogąć ubawić powyżej, sądzymy, że obowiązkiem redakcyi jest
sprostowanie tych wybryków pióra pp. rządów

zakładów kąpielowych, czy tam innych jakich list redaktorów.

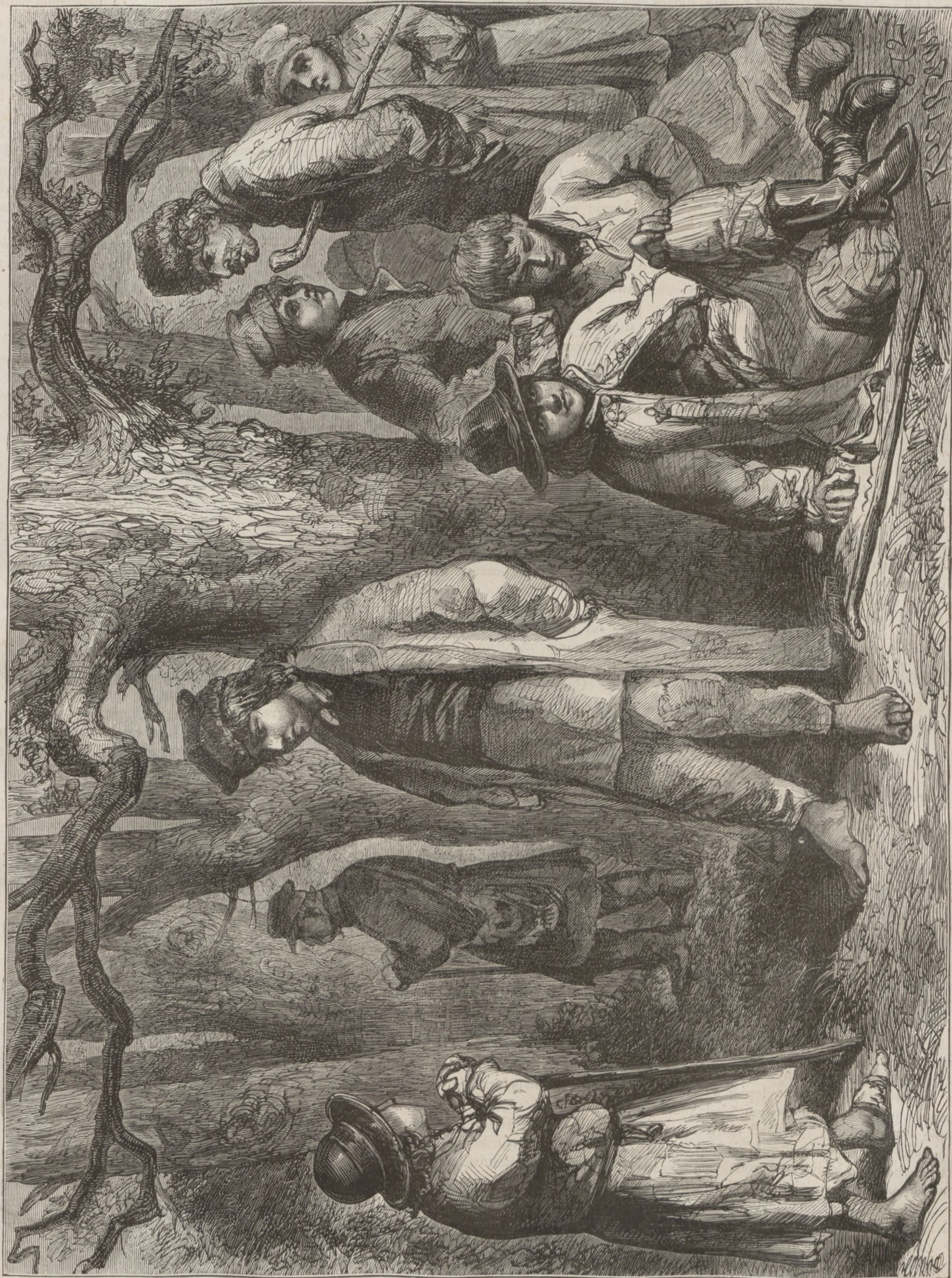
O istotnych brakach i potrzebach, dających

wne z pobudek, których domyslić się nietrudno...
W ogóle „Zdrowowiskom” naszym daleko jeszcze, pod względem wartości, nawet do niemiec-

NAGANKA-

Nagankę przedstawia rysunek nasz, czemuż

RYСУNEK F. KOSTRZEWSKIEGO.



NAGANKA.

się uczuwać w krajowych miejscach kąpielowych, Zdrowowiska mówią mało i ogólnie, a to zape-

kiego „Kursalon” lub „Sprudel.”

L. S. W. | jednak wszyscy tu spoczywają, stoją lub siedząc gwarzą? czyż tak odbywa się naganka leśnego

zwierza, na stanowiska myśliwych? zaiste nie—czy więc omyłka ta zaszła w nazwie rysunku? i to nie.... Oto bystry postrzegacz wad i usterek naszego życia codziennego pomiędzy nazwą rzeczy a jej wykonaniem znalazł różnicę dającą pole do ironii, a pełną prawdziwie komicznego charakteru. Wyobrażona tu przez artystę Naganka, w której spora liczba rąk do pracy zdolnych cały dzień w próżnowaniu oczekuje na hasło kapryśnej zachcianki, jest taką o tyle, o ile oberża nędzna o dziurawym dachu i podłodze chałupa, o ile letniem mieszkaniem Warszawian wilgotne, ciasne zamiejskie ciupki, o ile panem ten kto ostatkami goni lub na kredyt żyje, o ile mostem kilka dylów pionowych, które wbród obieżdzać potrzeba.

STADO KRÓW NA ŁĄCE

ALPEJSKIÉ J.

Są nazwiska zasłużone dwójakiego rodzaju, jedno zbyt rozślawione, inne za mało; taką różnicę dostrzegam pomiędzy nazwiskiem malarzki bydlą Rosy Bonheur, a malarza bawarskiego Voltza.

Wystawa powszechna paryzka w roku 1867 w oddziale Sztuki Bawarskiej posiadała parę obrazów tego istotnie znakomitego i dzielnego artysty. Różni się Voltz od Rosy Bonheur znacznie sposobem malowania; różnica ta atoli nie może być tłumaczoną na jego niekorzyść, polega bowiem na większej śmiałości ręki, na efektach krajobrazowych pełnych pomysłowości, w barwach i światłocieniu.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

INNY POWÓD.

Komedia w jednym akcie
przez E. Paillerona.

(Pierwsze przedstawienie 1-go września b. r.)

Są ludzie, którym tak wszystko sprzyja na świecie, że mogą za przykładem Polykratesa rzucić swoje skarby do morza, nie obawiając się żeby w nim bezpowrotnie zaginęły. Znajdzie się zaraz jakaś usłużna ryba co je połknie i umyślnie potem dostanie się pod nóż kucharza, byle tylko wybawić od bankrótwa lekkomyślne dziecię szczęścia. Tacy ludzie sięją plewy a zbierają zboże, leczą się z niestrawności spożytym przez łakomstwo preperatem na szczury, a gdy zdarzy się im niekiedy posliznąć się nad przepaścią, bądźcie pewni że albo wyprostują sobie garby, albo stoczą się wygodnie na miękkie puchy zasłane wytwornym perskim kobiercem. Udaje się im stokroć lepiej wszelka niezręczność niż wielu pracowitym biedakom dowcipnie osnute plany. Za błąd biorą nagrodę, za płochość okrywają się chwałą zasługi...

Ale trzeba na to koniecznie urodzić się w czepku lub zostawać pod opieką szczęśliwej gwiazdy.

— „Cóż bo znowu? powiecie.

Żadne „coż bo znowu” — to rzecz najpewniejsza. Zresztą, kto nie widział jednoaktowej komedijki Paillerona, nazwanej w oryginale przez autora: *L'autre motif*, temu wolno jeszcze wątpić do czasu.

My ją widzieliśmy w pełnym blasku... lamp warszawskiego teatru i odszukawszy w niej mi-

nowolną wprawdzie lecz jedyną konsekwencję treści i przekazujemy zrobione odkrycie wiadomości i uznaniu czytelnika.

Jerzy de Pienne należał niezawodnie do wyżej wspomnianych ulubieńców ślepego losu, o czym i sam przekonać się musiał w krytycznej chwili gdy serce jego ujarzmione zostało wdziękami pani Emmy d'Hailly nader powabnej separatki.

Że była powabną nie jest to prosty domysł, ani też zaznaczamy tu osobiste nasze wrażenie. O piękności Emmy świadczyły jej podboje. Konkurenci otaczali ją uporczywie przechodząc w szybko rosnącym uczuciu przez trzy stopnie coraz gorętszej temperatury, dopiero w czartym okresie zapal stygl od razu, i namiętny czciciel wynosił się jak mógł najprędzej nie skarzając się wcale na udzieloną sobie odprawę.

Pani Emma posiadała bowiem talizman który uwalniał ją bez trudu od natrętnych hołdowników. Tajemniczy ten urok zawierał się w dwóch słowach: „jestem wdową.”

I burza wezbranych uczuć rozpraszała się w mgnieniu oka. W uszach o które obły się te złowieszcze wyrazy powstawał nieznosny szum a drżąca ręka ogłuszonego słuchacza sięgała mechanicznie po kapelusz lecz niestety! sięgała daremnie, bo w czwartej fazie miłości wielbiciela Emmy przybywali zwykle z odkrytą głową, z przerażająco najeżonymi włosami, z sukniemi w nieładzie i bez rękawiczek. Odpowiedź separatki na wybuch rozpaczony użyty jako ostatni środek zaklęcia, odpowiedź lakoniczna a tak przecież wymowna: jestem wdową, wprowadzała ich w osłupienie, poczem oprzytomniawszy nagle, każdy biegł orzeźwić się trochę świeżym powietrzem i nie wracał już nigdy w progi gdzie go rażono jak piorunem wiadomością o niewczesnym zgonie bliźniego.

To nazywało się u Emmy generalną likwidacją. Co miesiąc w podobny sposób pozbywała się młoda gospodyni swoich zalotników uczęszczających do niej w ciągu dni trzydziestu „pour l'autre motif”, aż z kolei nastąpił pierwszy kwintnia przeznaczony na zamknięcie nowej sery rachunków. Dzień ten prawdopodobnie miał unieść z sobą najdroższe nadzieje p. Jerzego a przynajmniej separatka oczekując stanowczej rozmowy ufała po dawnemu w czarodziejską moc swego talizmanu.

Niezłomne to jednak przekonanie o bliskim odwoicie aspiranta nie sprawiło jej tym razem szereg zadowolenia. Emma wolną była od złudzeń, ale pomimo całej ostrożności niepotrafiła uniknąć złośliwych sideł amorka spiskującego przeciw niej w porozumieniu się widocznym ze szczęśliwą gwiazdą Jerzego, i skoro zbliżył się czas próby, pani d'Hailly mogła już tylko ze ściśnionym sercem wyrzec swój egzorcyzm, spsobiać się w duszy do bolesnego rozstania się z gościem miłym bezwzględnie, ale który jak mniemała, oświadczał się jej tylko „dla innego powodu.”

Jakież więc było jej zdumienie gdy Jerzy zamiast drgnąć konwulsyjnie zwyczajem reszty współzawodników, odezwał się owszem spokojnie:

— Pani, ja wiem o tym...

W istocie, dowiedział się przed godziną od siostry swiej Klary, że mąż pani d'Hailly umarł, co dla samej wdowy było jeszcze tajemnicą. Nie zrozumiawszy odpowiedzi Jerzego, Emma wpadła na myśl że Klara odkryła bratu podstęp przyjaciółki, który dotąd za tak dzielną służbę jej obronę.

— Przyznaj pan, rzekła, iż siostra wyznała panu że ja nie jestem wdową.

— Przeciwnie, siostra powiedziała mi że pani jesteś wdową.

— Ależ bynajmniej!... Powiedziała panu że ja nie jestem wdową.

— „Ależ przeciwnie, nie mówiła mi, że pani nie jesteś wdową.”

Wdanie się nadechodzącej Klary wytłomaczyło na koniec zagadkę. P. D'Hailly umarł rzeczywiście, a Jerzy z taktem na jaki zdobyć się czasem umieją „dzieci szczęścia” przynosząc Emmie wiadomość o śmierci jej męża, pospieszył jednocześnie ofiarować jej w zastępstwie nieboszczyka swoją własną osobę, i w nagrodę za wybór tak stosownej pory na miłosną deklarację... łaskawie został przyjętym.

Wśród tej mieszaniny posepnych tonów Requiem z różnym odgłosem Veni Creator, zasłona spada.

Niepotrzebujemy zapewne dodawać, że rola Emmy nieprzeciążyła sił artystycznych p. Pałiński i że p. Tatarkiewicz należycie przedstawił Jerzego. „Inny powód,” jest jedną z tych zabawnych drobnostek, które na scenie naszej zawsze lub... (przypomnieliśmy sobie w porę niezdarne graną rolę Franka w Fortepianie Berty) prawie zawsze udać się muszą.

KRONIKA.

— Czy widziałeś pan Księżnę Jerzową, — spytała mnie niedawno bardzo dowcipna kobieta posiadająca przymiot, którym dowcipni ludzie nie często pochlubić się mogą — szlachetne serce.

— Naturalnie że widziałem. Sztuka mi się nie podobała.

— Ach dajże pan pokój, nie o to tu idzie. O sztuce naczytałem się sprawozdań bez liku — a zresztą — w ciągu długiego mojego żywota znalazłem nie jedną księżnę Jerzową. Ale czyś pan uważał, że od tygodnia w żadnym towarzystwie o niczym innem mówić niepodobna.... Księżna Jerzowa tu — księżna Jerzowa tam...

— Czyż panią to może dziwić?... To jedna z kwestyj społecznych w Warszawie, — a przecież socjologowie nasi doprowadzili Warszawę do tego, że musi mieć co najmniej jedną kwestję społeczną na tydzień, — zupełnie jak pan Girardin w Paryżu ma jedną myśl na dzień... Niedawno balon — dziś księżna Jerzowa...

— Równasz pan jak widzę obie te sprawy co do ważności i doniosłości...

— Dla czegożby nie? odrzekłem. Czyż małżeństwo nie służy równie jak balon do szybowania między niebem a ziemią? i czy równie jak w balonie kierowanie nie jest odwieczną nierozwiązalną zagadką?

— Jak Warszawianin czystej krwi, zbywasz pan rzecz conceptem i należysz do tej falangi dowcipnisiów, którzy są najszczęśliwsi jeśli najpoważniejsze zagadnienie potrafią zmieścić w kalemburze.

— Łaskawa pani, świat stoi na kalemburze... Zasadnicze nasze pojęcia o sile i materii są po prostu kalemburami, na których poprzestać musimy w braku czegoś lepszego. Cywilizacja nasza spoczywa na kalemburze, boć założyciel chrześcijaństwa powiedział o Ś-tym Piotrze *je-stes skalą... (petra)*.

— Jesteś pan nieznosny przerwała mi z niecierpliwością znajoma... ale ukarzę pana najdotkliwiej pozbawiając spostrzeżenia, które przyda-

łoby się do kroniki — spostrzeżenia wywołanego popularnością księżnej Jerzowej.

— Więc ta bohaterka z trzeciwierci świata jest popularną...

— Między kobietami bardzo... ale co właśnie jest charakterystycznym, to formułka w jakiej zamyka się cała treść rozpraw nad heroiną Dumas. „Cobyś zrobiła na jej miejscu” pyta pani X. pani Y — i na tym wszystko się kończy.

— Ale czegoż pani więcej chciała! Kto wie czy właśnie wszystko nie zależy od tego jak w tym wypadku postąpi pani X lub Y... Nie dalej szukając... tak wierzę w rozum i wytrawność sądu pani — że odpowiedź pani na to pytanie: „Jakabyś pani postąpiła na miejscu księżnej Jerzowej,” — będę uważał za ostateczne i nieodwołalne rozstrzygnięcie kwestyi.

— Jakiż kwestyi?

— Naturalnie kwestyi kobiecej — ponieważ stałyście się panie *kwestyą* w tym naszym wieku pełnym znaków zapytania.

— Nareszcie pan rozsądnie mówisz — i nie zapatrujesz się na szereg scen rozwinętych w księżnej Jerzowej jako na jedną tylko z nieskończonych odmian stosunku mężczyzny do kobiety. Zajrzyjmy więc w oczy sfinksa.

— Błagam panią — zanim zajrzyjmy, — odpowiedz pani na moje pytanie...

— Otóż kiedy pan chcesz koniecznie... powiem panu otwarcie że na miejscu księżnej Jerzowej, pozwoliłabym mężowi jechać gdzieby mu się podobało z kochanką — i spokojnie zostałabym w domu.

— Sama? zapytałem topiąc wzrok w stalowych żrenicach interlokutorki.

— Dla czego pan tak na mnie patrzysz? zagadnęła zaena kobieta z uśmiechem.

— Zaglądam w oczy sfinkswi, — odrzekłem niespuszczając jej z oka.

— Z wieku tylko chyba jestem do sfinksa podobną... Ale mniejsza o to... pozostałabym więc w domu, powtarzam, ale nie sama.

— Ależ pani, to niemoralnie, zawołałem zakrywając oczy, z gestem dramatycznym.

— Kochanek byłby moim argumentem w sporze o stanowisko kobiety, argumentem dowodzącym tylko jak jesteście nielogiczni i niekonsekwentni w waszych wywodach. Ile razy tylko my kobiety uważając się za jednostki społeczne, upominamy się o prawo do równości z wami pracy i działalności, wy apelujecie do matki natury która według koniecznego podziału pracy, nam wyznaczyć miała macierzyństwo. Zapominacie tylko o jednej rzeczy: że odwołując się do sił ślepych, fatalnych, działających poza wszelkimi granicami uspołecznienia, pozbawiacie się prawa karania nas mieczem społecznym, wtedy gdy posłuszne owej konieczności podziału pracy, idziemy za temi zaleceniami przez was wskazówkami matki natury, bez względu na artykuły kodeksu towarzyskiego. Z dwóch rzeczy jedno... albo jesteście zwierzątkami niespołecznymi — a w takim razie niema praw, niema błędów ani przekroczeń są tylko instykta które nas pchają do zachowania rodu ludzkiego — albo też jesteśmy istotami żyjącymi w pewnym ustroju towarzyskim — a wtedy, gdy właściwości tego ustroju nie pozwalają nam być matkami, pozwólcie nam być czem innym i apelować z kolei od natury do społeczeństwa. Przyznasz pan że nasza apelacja jest nieco szlachetniejszą.

— Szczególniej jeżeli nie przybiera formy kochanka, jakto pani doradzasz księżnej Jerzowej.

— Ja nic nie doradzam — ale utrzymuję, że księżna Jerzowa samaby tak postąpić musiała, gdyby Dumas nie ułakł się ostatecznych wyni-

ków swego założenia. Bohaterka modnego dramatu rozumowałaby *à contrario*... odwoływałaby się do natury, mówiąc: nie usposobiliście mnie do niczego, tylko do miłości; po za miłością nie wiem, nic nie pojmuję, niczego się chwycić nie potrafię — szukam więc miłości *à tout prix* i biorę ją tam gdzie mi ją trafia namiętnie... Tyle razy napowtarzaliście nam że miłość jest treścią naszego życia, w waszym zaś figuruje tylko jako epizod, — żeście z tego zrzecznego frazesu zrobili nareszcie przykazanie i dziś na seryo wolicie kiedy pierwszy lepszy głupiec jedynie za dach i kawałek chleba prowadzi nas przez ołtarz do drzwi swej sypialni — aniżeli kiedy po ten sam kawałek chleba sztukamy do drzwi uniwersytetu.

— Dla czego pierwszy lepszy głupiec?

— Dla tego mój panie, że nam wybierać nie wolno, że będąc same wybranymi, musimy się uważać za szczęśliwe: bo nazwisko choćby najgorszego męża daje nam w świecie stanowisko — którego nie będziemy w stanie wywalić najuczciwszą i najwytrwalszą pracą — dla tego że nawet te krwawe sposoby zarobkowania do których łaskawie nie odmówiliście nam jeszcze prawa, tak nam się opłacają jak oto ten list opiewa.

Mówiąc to piękna adwokatka kwestyi kobiecej, podała mi list z którego fakt następujący wypisuje.

Córka urzędnika jednej z tutejszych dekanatów ukończywszy przed kilku laty sześcioklasowe gimnazjum rządowe w Warszawie, posiadająca zatem patent i kwalifikację wyższej nauczycielki domowej, zgodziła się za pośrednictwem jednego z kantorów guwernantek na nauczycielkę do domu obywateli pod Płońskiem (w takich wypadkach *nomina* nie są odiosą i mogą być wrzecie potrzeby ogłoszone). Na wstępie zaraz pani domu powitała nauczycielkę swoich dzieci z odległości dwóch pokoi słowami.

— Tam jest pokój panny.

Pobyt owej panny w domu zacnego obywatelstwa trwał tylko tydzień — a przez ten czas nauczycielka musiała być *szlachetną* do której przemawiano w trzeciej osobie, lub nazywano jak kawiarkę *panną* — która przy stole zjadała resztki pozostałe po obdzieleniu wszystkich, która zgodziwszy się do kształcenia umysłu i serca elewów, musiała myśleć o ich ubieraniu, czesaniu, ucieraniu nosów, rozwiązywaniu trzewików i być na ciągłych posługach, za co śliczne cherubinki wynagradzały ją takimi komplementami jak „ty szelmo, malpo” i t. p. pańsko-obywatelskimi galanteriami (przepraszam czytelników i czytelniczki, ale w tym miejscu list przytoczyłem dosłownie). Postawa rodziców w obec takiego obchodzenia się, nietylko niezmieniała stosunków, ale je jeszcze pogorszała, tak, że nauczycielce wypadało tylko bezzwłocznie opuścić to piekło. Na nieszczęście przy ugodzie wzięła ona zaliczenia 22 ruble w celu oporządzenia się i przyzwoitego przedstawienia się swoim pryncypałom. Kiedy więc oświadczyła chęć powrotu do domu odpowiedziano jej, że wprawdzie robi tym sposobem zawód, jeżeli jednak powróci zaliczenie to może swoim kosztem do Warszawy odjechać. Biedna nauczycielka wyczerpawszy swój zasób nie była w stanie zwrócić zaliczonych pieniędzy, — obywatelstwo więc z pod Płńska uważało za stosowne zaarrestować jej rzeczy aż do chwili zwrotu wziętych tytułem forszusu pieniędzy.

— Takie wypadki notować, — pomyślałem sobie skończywszy list, — pożyteczniejsze by może było aniżeli komentować broszurę d-ra Bischoffa, rozwodzącego się nad niestosownością studyów

medycznych dla kobiety — jak to uczyniły „Kłosy,” — tym więcej, że o bezstronnych głosach występujących w obronie uczących się kobiet, a pochodzących z tego samego Zurichu o którym Dr. Bischoff wspomina, publiczność nie wie; a przecież głosy te stwierdzają jak najlepsze rezultaty studyów kobiecych — a zamieszcza je poważna gazeta niemiecka ostrożnie traktująca kwestyę kobiecą, — ale pojmująca że w każdym sporze słuszność nakazuje obu stronom wysłuchać.

Zanim „Wieniec” obezna czytelników z całym przebiegiem sporu o medycynę kobiecą w Zurichu, wspomnieć muszę jeszcze o jednym fakcie, który w dziedzinie pracy kobiet w Warszawie, przypomina trochę Zurich, — naturalnie w miniaturowych rozmiarach. Niedawno dwanaście kobiet wystąpiło z podaniem do tutejszej szkoły handlowej o pozwolenie uczęszczania na wykłady i korzystania z wiadomości któreby im pomogły choć trochę dotychczasowe środki zapracowania na chleb powszedni. Proszącym odmówiono pod pozorem kosztów jakieby podobna reforma pociągnąć za sobą musiała. — Sądzę, że ta trudność dałaby się usunąć przy dobrej woli pryncypałów, którzy zaofiarowawszy po kilka rubli od każdego ucznia posyłanego do szkoły Handlowej, umożliwiliby urzeczywistnienie tak skromnych żądań z jakimi odezwały się kobiety wzdechające do choćby najskromniejszego, ale niezależnego od łaski mężczyzny stanowiska.

Przyznajcie przynajmniej wy lękliwi którym nie zależność kobiet nie inaczej się przedstawia jak w obłoku tytuniowym kłębiącym się z różanych ustek płci pięknej, — że zajęcia handlowe nie pociągają dla kobiet tych niebezpieczeństw jakie według was zagraża porządkowi społecznemu jeśli niewiastom wolno będzie macać za puls lub oglądać języki chorych. Ale cóż! bywają wypadki, że same kobiety utrudniają rozwiązanie tak ważnej kwestyi pracy kobiecej — i jak to zwykle się wydarza: te które nie nie robią stają na przeszkodzie odważnym pracownikom. Znana przecież jest odpowiedź właściciela jednego z wielkich magazynów bławatnych w Paryżu, na pytanie: dla czego na miejscu całej armii subiektów i komisantów, mężczyzn zdrowych i silnych eksponujących swoje niepokalaną białosć kamizelki, krawatki fantazyjne, głowy wypomadowane i wasy wyfiksuarowane, nie umieści za kantorami kobiet — odpowiedział:

— Robiłem już próbę — ale musiałem się wyrzec reform pod zagrożeniem ruiny. Miałem wprawdzie w sklepie kobiety sprzedające, ale straciłem wszystkie kupujące.

— Jakto, spytano go — więc tu nie towar stanowi, ale ręce które go podają.

— Ba! przerwał kupiec z uśmiechem, który Balzacowi musiał dać temat do sławnego studium komisanta Gaudissarta.

W tym jednym wyrazie zamykał się cały traktat psychologii... ze stanowiska bławatnego, obalający wszystkie teorie ekonomiczne podziału pracy.

Działo się to w Paryżu... zastrzegam raz jeszcze czytelniku — abyś nie sądził że mam tu na myśli Warszawę. Zaręczam ci tylko z ręką na sercu, że pomiędzy kobietami które na tronie kontuarowym potrzebują koniecznie widoku Gaudissarta, — najwięcej bywa dowodzących o niemoralnych skutkach pewnych powołań kobiecych.

Potrąciwszy o kwestyę ekonomiczną, pomówmy trochę o „Mercurym.” Pessimisci nazywali sprawozdanie za drugie półrocze 1871 roku z działań tego stowarzyszenia „wspomnieniem

przedśmiertnym. "Nazwa ta która cierpliwym obserwatorom wydała się wtedy dowcipnem *bon-mot* zaczyna niestety przybierać coraz realniejsze znaczenie. W Niedzielę dnia 25 Sierpnia naznaczone było zwyczajne zebranie członków stowarzyszenia spożywczego. Ustawa wymaga jak wiadomo do prawomocności postanowień zgromadzenia,—obecności najmniej 104 członków. Tymczasem na oznaczony termin zebrało się zaledwie 90 członków, zgromadzenie więc nie doszło do skutku i odłożone zostało na dwa tygodnie. Sprawozdawca Kuryera Warszawskiego donosząc o tym wypadku, ubolewa nad obojętnością stowarzyszonych i wypowiada zwykłe zarzuty: że my tylko w początkach każdego przedsięwzięcia gorąco w niemu udział przyjmujemy, następnie obojętnością naszą przyczyniamy się do jego upadku; że i teraz nieprzybycie członków wpłynie na zmniejszenie i tak już nie wielkiej dywidendy bo wynoszącej tylko 3%,— że w jednej chwili nic nigdy się nie buduje. Ubolewanie szan. sprawozdawcy wydaje nam się cokolwiek jednostronnem. Każdy pamięta jakie zajęcie wzbudziło nowozakładające się u nas stowarzyszenie spożywcze i z jaką chęcią i skwapliwością złożono znaczną sumę na pierwsze odezwanie się założycieli. Prawda był to początek, lecz wszyscy zapisujący się spodziewali się i mieli prawo wymagać od stowarzyszenia aby odpowiedziało celowi założenia t. j. aby dało dobry towar, dobrą wagę i jak największą dywidendę. Czy stowarzyszenie a raczej zarząd odpowiedział oczekiwaniom? Śmiało odpowiedzieć można że nie. W początku jak zwykle, były usterki—lecz starano się poprawiać je: ludzie dobrej woli, dawali pracę swoją bezinteresownie, dla dobra stowarzyszenia, ponosili nawet straty z własnej kieszeni. Były niezadowolenia, narzekania, ale stowarzyszeni widzieli dobre chęci i otrzymywali 4% a nawet 4½% dywidendy. Wychodząc z zasady nader słusznej że w stowarzyszeniu czysto handlowem, praca niepłatna niepowinna mieć miejsca, postanowiono wynagradzać członków zarządu, wybrano nowy zarząd po którym spodziewano się bardzo wiele — rezultat niestety okazał się gorszym. Nastąpiły straty i to bardzo znaczne które stowarzyszeni z dywidendy pokryć musieli, interesu stowarzyszonych nie polepszyły się i nie polepszają się do obecnej chwili.—dywidenda spadła na 2% a najwyżej na 3%. Towary w sklepach nie odznaczają się ani doborem ani dobrocią; na zażalenia stowarzyszonych zarząd nie zwraca uwagi. Gorętsza opinia widzą, że dobre chęci rozbijają się o prywatę, zaniechała ciągłej wojny, nastąpiła więc obojętność, bo nie ma żadnego interesu należeć do stowarzyszenia. Zarząd nie jest na wysokości swego zadania, przez dwa lata bowiem ani na krok się nie posunął,—Kto temu winien? — niech ogół na to pytanie odpowie. Stowarzyszenie istnieje już lat trzy—w stosunku do wieczności, jest to zapewne jedna chwila—lecz w naszym krótkim życiu, to dość poważny peryod. Przez ten czas można było coś zbudować,—a co źle zbudowane poprawić. Że nie uczynił tego obecny zarząd,—aż nadto jest widocznem,—ale trudno o to obwiniać ogół stowarzyszonych. Wina ciąży raczej na tej większości przypominającej stado Panurga, która stanęła na przeszkodzie ulepszeniom przez mniejszość proponowanym. Dziś znowu dawne wnioski na stół wychodzą, zobaczymy co się z nimi stanie. Po odbytem zgromadzeniu powrócimy jeszcze do tej kwestyi.

Tymczasem wypadnie nam zaznaczyć że in-

nego rodzaju *spożywczy*, to jest konsumenci gazu zaczynają z pewną uwagą oglądać się za własnymi interesami, a to dzięki aeronauce i wycieczkom balonowym. Mówię w liczbie mnogiej, gdyż od czasu ostatniej naszej gawędki miała miejsce druga już wycieczka nadpowietrzna, a szykuje się podobno nawet trzecia w której p. Bunelle ma wspaniałomyślnie zaryzykować skrócenie karku na korzyść Towarzystwa Dobroczynności. Podróże te nie mogące przy swój krótkotrwałości mieć żadnej cechy naukowej, są już obecnie tylko zabawką trochę ryzykowną, której epizody, muszą z natury rzeczy powtarzać się ciągle. Nie będę więc rozpisywał się o tej drugiej wycieczce, zakończonej we wsi Gawarzec Dolny pod Wyszogrodem,—ale zakomunikuję wam czytelnicy charakterystyczny szczegół podany przez jednego z podróżnych który mi opowiadał że w ciągu całej podróży kapitan wyprawy ciągle się dopytywał czy „Prusy daleko.” Czyżby jedna z chmur z którymi Juliusz Favre się spotykał, przybrała kształty Bismarcka?

Jedynym praktycznym pożytkiem tych dwóch wycieczek było poruszenie kwestyi gazowej (jeszcze jedna *kwestya* w drugiej połowie ubiegłego miesiąca!). Już po pierwszej wycieczce i w ciągu dyplomatycznych rokowań między p. Bunellem a tutejszym towarzystwem gazowem, pokazał się fakt dziwny, że gazometr towarzystwa wskazując przeszło 200,000 stóp sześciennych dostarczonego jakoby gazu, niezdolał wypełnić balonu potrzebującego tylko 70,000 stóp sześciennych. Zkąd każdemu nasunęła się myśl bardzo naturalna, że jeżeli mylą się w tym samym stosunku wskazówki na gazometrach mierzących ilość gazu wypotrzebowanego przez konsumentów warszawskich, muszą się też wkładać pewne niedokładności, i w rachunkach nadsyłanych przez towarzystwo. Na te właśnie niedokładności zwróciła się uwaga publiczności, która płacąc zaczyna dość ciekawie zapytywać za co i według jakiej zasady płaci?

Do pana Bunella publiczność nie może mieć żadnej pretensyi. Obznajmiwszy Warszawę z balonem zastósowanym w praktyce, miał szczerą chęć skreślić jej w swój pogadance w auli uniwersyteckiej rys teoretyczny aerostatów. Szkoda że wziął się do tego w sposób niekoniecznie odpowiadający założeniu. W luźnej gawędce trwającej dwie godziny—część historyczna za obszernie była rozwinięta, teorię balonów traktował prelegent zbyt pobieżnie,—dział zaś anegdotyczny, zacerpnięty w epizodach ostatniej wojny przemknął się jakoś pospiesznie co ze względu na znaczenie „Juliusza Fawra” w hierarchii balonów było wielkim błędem,—nareszcie ciekawą kwestyę kierowania balonami zbył pan Bunelle kilkoma ogólnikami... w stylu czysto felietonowym...

Przysłuchiwało się tej „konferencji” osób zaledwie kilkadziesiąt... Nie byłby to fakt dziwny jak na Warszawę, gdyby nie przyczyna, której był jak się zdaje bezpośrednim skutkiem... O tej samej godzinie tłumy publiczności cisnęły się po głównych aleach Ogrodu Saskiego oświecającego kolorowymi lampami po raz niewiem już który programowe cuda loteryi fantowej. Sądziłem już szanowni czytelnicy, że o loteryach, jak o Merkurym, będziemy nie długo dowiadywać się pod rubryką nekrologii,—tymczasem pokazało się że zarząd organizujący zabawę na dochód ubogich wyznania mojżeszowego, posiada aliksir długiego życia lub wodę odmładzającą. Wpadł on na szczęśliwą myśl przerwanie milczenia, które nastąpiło po odlocie śpiewaków skrzydlatych gdzieś

daleko w obce strony,—i oto inne przelotne ptaki z pod włoskiego nieba zaśpiewały jakby na pożegnanie słonecznych dni lata, wśród kasztanów i lip sposepniałych już i drżących od podmuchu jesieni. Jak ogród ogrodem, pierwszy to raz może tkliwe i namiętne frazesy Donizettiego i Verdiego, uleciały pod odkryte niebios sklepienia. I jakżeście chcieli ażeby estrada Bilsego, który akompaniował włoskiemu sekstetowi, nie była obleżona? Któż mógł oprzeć się pokusie wygrywania pudełka zapalek z towarzyszeniem wyjątków z Łucyi z Lamermoru lub Ernanięgo? — A czy mało było licha melomanów, którzy przy białym dniu chcieli porównać portrety fotograficzne pani Coroselli sprzedawano bez ceremonii w kassie Teatru Rappo, — z oryginałem wolnym od różu, bielidła i tym podobnych przyborów scenicznych? To też tą razą nikt się nie uskarżał na cenę dwuzłotową nałożoną na miejsca około estrady, płacił bowiem nie tylko za to że siedział, ale że wygodniej mógł słuchać muzyki.

Może też Warszawa chciała choć późno dać dowód uznania wytrwałości trupy p. Carosello. Towarzystwo to, pierwsze zakończyło już szereg swoich letnich przedstawień i ma pusić się w wędrowkę po naszym kraju, a w zimie w pewnej części wcielić się do składu trupy p. Ciaffeiego. Zresztą Opera włoska i Alkazar, mają być i na przyszłość zapewniony, bo podobno wyjęte są z pod rozporządzenia wzbarniającego teatrom ogródkowym zawierania nadal kontraktów. Z faktu, podanego przez Kuryera Codzienny, publiczność wnosi, że istnienie małych teatrzyków jest zagrożone. Objaśnienia jednak jakie zdołaliśmy zebrać w tym przedmiocie, upoważniają do przypuszczenia, że rozporządzenie to ma podobno na celu kontrolę scen pomniejszych, które dotychczas potrzebowały tylko upoważnienia policyi. Bądź co bądź Dyrekcyja teatrów zamysła wprowadzić pewne ograniczenia dla towarzystw prowincjonalnych, powodując się mylnem według nas wyrachowaniem ekonomicznem. Nie konkurencya to ogródków była powodem uszczerbku w kassach naszych teatrów, bo podatek z szóstą częśći dochodu pobierany od wszelkich widowisk brak ten zapełniał, jeżeli nawet nie przewyższał. Tylko urozmaiconym i dobrze obmyślanym repertuarem, teatru nasze waleczyć mogą skutecznie z improwizowanym często, ale niemniej żywotnym repertuarem ogródkowym.

Chwila obecna stosowniejszą jest może niż każda inna do reformy radykalnej, mianowicie przy zmianach które zaszły w reżyseryi od niedawnego czasu. Nie myślimy tu występować w obronie sprawy upadłej ani też rzucać kamieniem na zdetronizowanych. Nie jednokrotnie mówiliśmy z całą szczerością że jest źle; dziś wierzymy że będzie lepiej i pragniemy tego z całego serca. W pierwszych zaraz chwilach istnienia pisma wypowiedzieliśmy w „Wieniu” poglądy nasze na scenę i na jej stosunek do sztuki i do społeczeństwa. Rys historyczny o „Stanowisku aktora w społeczeństwie,” zaznajamia czytelników z tym procesem jaki się musiał odbyć w społeczności, zanim aktor wywalczył sobie względnie chociażby niezależną pozycję socyjalną. Do tak określonych stosunków należy jeszcze dodać ten pewnik, że od artystów samych od wewnętrznego ustroju ich towarzystwa, od solidarności ich we wspólnej pracy zależy też w wielkiej części utrzymanie godności sceny krajowej i postawienie jej na szlachetnych wyż-

Dokończenie w dodatku.

DODATEK DO „WIENCA” Nr. 72-go.

nach prawdziwej sztuki. Na to potrzeba, ażeby przy wejściu na scenę, w garderobie każdego artysty świecił napis: „artyści są dla teatru nie teatr dla artystów”—dewiza o której niestety dzisiejsze pokolenie artystów zdaje się zupełnie zapominać. Mówimy: dzisiejsze pokolenie, bo dość zajrzeć w historię naszej sceny, aby się przekonać o olbrzymiej różnicy warunków w jakich dawniej znajdowali się grający. Małe wynagrodzenie, kłopot o techniczną stronę, (jak np. o garderobę, przybory, które teatr skąpo i wyjątkowo udzielał) szczupły stosunkowo skład towarzystwa, którego skutkiem była konieczność częstego grywania ról najrozmaitszych, wszystko to niepotrafiło zniechęcić takich talentów jak Ledóchowska, Paleczewska, Halpertowa, Węrowski, Kudlicz, Szymanowski, Piasecki, a nawet za naszej jeszcze pamięci żyjących do oddania się całemu sercem sztuce. Tajemnica tego objawu bardzo prosta: w tych sercach gorzała miłość dla sztuki, nie osobista drażliwość i wyłączna troska o swoją sławę aktorską. Reżyserowanie było wtedy rzeczą łatwą, bo miało się do czynienia nie z pojedynczymi ambicjami ale ze zbiorowym zamiłowaniem. Dzisiaj więc jeżeli artyści nie chcą sięgnąć na siebie podejrzenia, że większa cyfra *feu* jest jedynym bodźcem ich działalności, niech dopomoga nowo organizującej się reżyserii, pamiętając o tém, że teatr jest u nas instytucją wychowawczą, że zatem ciąży na nich obowiązki prawdziwie obywatelskie.

Już to rzecz wiadoma, że artyści stanowią osobny *genus* którego drażliwość przeszła w przyzwyczajenie. Dowiedli tego rzeźbiarze podpisujący protestację przeciwko oddaniu p. Godebskiemu pierwszeństwa w wykonaniu pomnika dla Moniuszki. Protestujący twierdzą, że pomnik taki powinien stać drogą konkursu. Nie ma wątpliwości, że jest to środek zwykle w takich razach używany,—ale nie mniej trudno mieć pretensję do ludzi zajmujących się pomnikiem za to że wykonanie go powierzyli artyście który bezinteresownie pracę swą ofiarował.

Zresztą do konkursu zdaniem naszym zawsze jest otwarta droga: i to do całkiem nowego bo do konkursu *beziinteresowności*. Panom artystom podpisanym na protestacji idzie zapewne o zaszczyt uczczenia pomnikiem pamięci Moniuszki, nie zaś o *nervus rerum* każdego konkursu, to jest o pieniądze. Jeżeli więc nie wpadli przed p. Godebskim na myśl bezpłatnego wykonania pomnika, mogą teraz iść za przykładem tego rzeźbiarza i ozdobić pomnikiem autora „Halki”—np. przysionek teatru. Dla kościoła i dla teatru pracował Moniuszko, niechże w obu świątyniach postać zgasłego mistrza przypomina zgromadzoną stracę jaką kraj poniósł i zasługi położone przez nieboszczyka dla sztuki.

Pozwól teraz czytelniku, że w małym *post-scriptum* załatwię sprawę z małutkim pokątnym piśmkiem zwanym „Kolce”. O swistkach tych wypowiedziałem w przeszłej kronice zdanie, które się mocno Redakcyi „Koleców” nie podobało. Wypaliła tedy,—powierzywszy pióro autorowi rubryki „pod sekretem,” sążnistą odpowiedź w której czytelnikom swoim mówi przede wszystkim nie *co* „Wieniec” pisał,—ale *kto* w „Wieniec” pisał. Nie zadziwiło mnie to bynajmniej.—Autor odpowiedzi ma nademną tę praktyczną przewagę, iż wie doskonale że zbyt poważam pismo którego jestem współpracownikiem, abym w replice zawiadamiał czytelników

kto mianowicie, w „Koleach” o mnie się odzywał. Jedną tylko okoliczność była dla mnie z początku niezrozumiałą: mianowicie jakim sposobem Redakcyi, której tak trudno było obrachować się z drukarnią p. Keltera, tak gładko obliczyła naszych prenumeratorów. Później przypomniałem sobie z wiadomego procesu z tymże samym panem Kelterem, że *odejmowanie* jest ulubionym działaniem Redakcyi „Koleców.” Cała więc sprawa redukuje się do kwestyi osobistej, której przez poszanowanie dla czytelników „Wienca” dotykać nie myślę. W liczbę prenumeratorów „Koleców” podaną przez jej redakcyę,—wierzę. Gromada istot piszących listy bezimienne, czytających rubryki „pod sekretem,” i oglądających ukradkiem *obscena* w stereoskopach,—wielka była po wszystkie czasy. Z tych smutnych objawów wyradza się jednak kwestya ogólniejszego znaczenia, i o tej właśnie kwestyi pomówimy kiedyś obszerniej z czytelnikami „Wienca.”

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 71).

Przegląd dziejów przyrody. — Studya filozoficzne d-ra Wincentego Szyszlo (e). — Warszawa. 1872.

Rozdział następny, poświęcony histologii, autor zagaja zestawieniem dwóch typów odmiennego bytu: kryształu i komórki. Pierwszy jest podstawą zjawisk przyrody mineralnej, drugi—objawów życia. Różnica pomiędzy nimi ogromna. Z jednej strony widzimy pewną bezwładność i niezmiennosc, tak pod względem formy, jako też i ułożenia atomów kryształu; z drugiej—ciągłą przemianę, ciągły ruch, ciągłą pracę tworzenia, i jako skutek tego ruchu — wzrost i reprodukcję. Dziś już nikt o tém nie wątpi, że rośliny i zwierzęta pochodzą wyłącznie z przeobrażenia się komórki... Każda komórka, podług Virchowa i jego zwolenników, pochodzi także od komórki. Wielu jednak uczonych—a pomiędzy innymi Cl. Bernard—przypuszcza możność zaradzania się komórek z cytoblasty. Pasteur otrzymał tworzenie się komórek roślinnych w płynach fermentacyjnych. Powiedzieliśmy wyżej, że zjawiska tego nie należy pożytywać za objaw samorodztwa, gdyż komórki fermentacyjne powstają w tym wypadku w środku organicznym.

Po zwięzłym opisie komórek i tkanek organicznych (podług Leydig'a), autor przechodzi do rozbioru dwóch środków otaczających — zewnętrznego (*milieu exterieur*) i wewnętrznego (*milieu interieur*), niezbędnych dla rozwoju życia organicznego. Cl. Bernard pierwszy zwrócił uwagę na ważne znaczenie środka otaczającego, na który składają się: powietrze, woda, pokarmy, ciepłota, światło, elektryczność, magnetyzm i t. d., a zarazem wykazał, że zwierzęta wyższej organizacyi mają jeszcze inny środek wewnętrzny, który bądź jako krew, bądź jako limfa lub inny płyn pokarmowy, oblewa wewnątrz wszystkie tkanki zwierzęcia, dotykając bezpośrednio pierwiastkowych części organizmu i łączy się w pewnych organach z powietrzem czyli środkiem kosmicznym.... Tak więc przyrząd naczyniowy, złożony z serca, tętnic, żył, chłonnicy czyli naczyń limfatycznych, jest w istocie nieczem innem, jak środkiem organicznym, sięgającym do ostatecznych komórek organizmu. Przeznaczeniem jego jest pośredniczenie między

organizmem a środkiem kosmicznym. To zapamiętywanie się Cl. Bernarda uznane zostało obecnie przez wszystkich biologów.

Niewłaściwie byłoby w sprawozdaniu pobieżnym wyliczać wszystkie ważne i zajmujące fakta naukowe zawarte w V-tym rozdziale „Przeglądu.” Poprzestaniemy na ostatecznym wyniku. „Biologia dzisiejsza w badaniu życia i komórki doszła do następujących rezultatów—mianowicie: że u istot organicznych właściwie żyją tylko same komórki; że życie ich jest zupełnie niezależne; że przechodzą one tę samą ewolucyę rozwoju, jaką przebywa cały organizm. „Komórki, mówi Leydig, są to małe istoty organiczne, będące oddzielnym centrum działalności dla swego indywidualnego rozwoju.” Czynność pewnego organu jest summa czynności jego komórek, czynność całego organizmu jest to wypadkowa zespolonej czynności wszystkich jego organów. W organizmie jedne części (organu) zależne są od drugich—i tak: mięśnie zależą od nerwów, nerwy od komórek czucia i myślenia (?). Niemniej jednak, przy zupełnej harmonii organizmu w stanie czynnym, widzimy najzupełniejszą niezależność pojedynczych jego części pod względem właściwego ich życia i rozwoju organicznego. U niższych istot całe członki są niezależne w swym rozwoju od środków nerwowych czyli od wspólnego centrum... U najniższych tworów dostrzegają się dające zupełną niezależność komórek. Organizmy te dają się dzielić na części w rozmaity sposób, a każda cząstka znowu w całość się zamienia... Od jednokomórkowej amoeby do wielokomórkowego wieloryba, jakież ogromny istnieje przedział! a jednak gdy ze zdumieniem podziwiamy milionowe połączenie rozmaitych komórek w wyższym organizmie dla jednego celu, to jest życia indywidualnego, nie mniej cudowną przedstawia się nam twórcza działalność pojedynczej komórki, z której w następstwie cały organizm powstaje.”

Pięknym porównaniem autor wieńczy zasobny treścią ustęp o komórce: „Organizm nasz można porównać do wszechświata: jak tam planeta, tak tutaj komórka ma być niezależny pod względem rozwoju i życia; przestrzenie międzyplanetarne odpowiadają przestrzeniom międzykomórkowym. Oddzielne centra naszych organów, poddane jednej woli—są jakby słońca w obiegu swoim koło wspólnego środka światów w konstellacyi Plejad.”

Daléj czytamy równie treściwą i piękną rzecz o biegu materii i siły w przyrodzie. Na czele wykładu spotykamy się z głęboką i prawdziwą, o ile nam się zdaje, myślą Cl. Bernard'a, z którą pozajomili się czytelnicy w innym artykule „Wienca:” że materia bez siły nie istnieje, i czy to w przyrodzie mineralnej, czy też w organicznej — materia zawsze ożywiona jest przez siłę. Tak w jednej jak w drugiej przyrodzie, materię uważać należy jako warunek, podścielisko (substratum), formę dla objawów siły; w jednej i w drugiej materia ożywiona jest, bądź życiem mineralnym, bądź organicznym. Nie należy wszakże sądzić, że materia może samowolnie przejść w stan czynny i stać się przyczyną pewnych zjawisk. Bez dopełnienia ich ani magnes działać, ani ciało spadać, ani komórka nerwowa odczuwać zewnętrznych wrażeń nie może. Temi warunkami, tak w przyrodzie mineralnej jak i organicznej, są ciała i środek je otaczający. „Życie, powiada Cl. Bernard, nie tworzy ani materii, ani siły, lecz tylko wytwarza organizację, nadaje formę i układ specjalny dla objawów

żywności"... Lavoisier stwierdził, że w przyrodzie nie się nie tworzy i nie ginie... Następnie autor rozpatruje bliżej ten obieg materii i siły celem wykazania, że w ciągu całego życia nie jesteśmy w stanie utworzyć ani jednego atomu materii, ani najmniejszej nawet jednostki siły... Materia przyrody mineralnej odbywa nieustanne krążenie, przechodząc stopniowo przez organizmy roślin i zwierząt, i napowrót wracając do natury w tym samym stanie, w jakim ją spostrzebowywały rośliny, to jest w stanie mało złożonym, czyli prostych obojętnych ciał jak woda, kwas węglany, azot, amoniak i sole mineralne, które na nowo służą za pokarm roślinom... Obieg materii w przyrodzie jest nieustanny. Proste pierwiastki w roślinie gromadzą się w ciała złożone siłą ciepła słonecznego, pobudzającego czynność komórek roślinnych; produkta te w organizmie zwierząt odbywają proces pozornego rozkładu, w istocie zaś następują nowe związki... Organizmy zwierzęce zwracają naturze ciała utlenione, w tej samej postaci, w jakiej przez rośliny pochłonięte zostały. W tym ciągłym obiegu materii nie się nie tworzy i nie ginie. Ciepłik zużyty przez rośliny w czasie ich wzrostu, wydziela się napowrót w organizmie zwierząt podczas kumbustyi produktów roślinnych, w tej samej ilości w jakiej przez rośliny zacierpnięty został; czyli że ilość ciepła powstająca ze spalania w organizmie zwierząt jednego kilogramu węgla, równa jest ilości ciepła otrzymanego przez rośliny od słońca dla wydzielenia jednego kilogramu węgla z kwasu węglanego.... W całej swój ewolucyi organicznej rośliny przebywają wyłącznie pracą wewnętrzną, przyczem pochłaniają ciepłik słoneczny, będący główną przyczyną tej ich pracy wewnętrznej. Zwierzęta zaś będąc w ciągłym ruchu, wykonywają pracę zewnętrzną i wewnętrzną. Podwójna ta praca wymaga znacznej ilości siły, którą daje ciepłik powstający z utlenienia węgla i wodoru w naczyniach włoskowatych i w komórkach naszego organizmu... Bischoff powiada, że człowiek dorosły traci w godzinę 4,000,000 jednostek ciepła, czyli tyle ciepła, ile potrzeba dla doprowadzenia 80 funtów wody od zera do temperatury wrzenia.

Obieg siły zarówno ma miejsce w przyrodzie, jak obieg materii... Olbrzymie odkrycie Mayer'a z Heilbronn — tożsamości siły mechanicznej i ciepła — doprowadziło do zdumiewających rezultatów. Utworzona przez niego teoria dynamiczna ciepła polega na tem, że pewna ilość ciepła odpowiada zawsze pewnej ilości pracy, i na odwrót, że dana ilość pracy wytwarza pewną ilość ciepła. Przy tej zręczności zaznaczmy jedno ze zdań autora, stawiające go w sprzeczność z samym sobą jako człowieka nauki z hołdownikiem Woli Nadprzyrodzonej: „Wszystkie siły przyrodnicze, powiada autor, objawiają się jako pewnego rodzaju ruch bądź masy ciała, bądź jego cząstek, lub też atomów ostatecznych eteru rozlanego między niedziatkami materii.(?)”

Chcąc dać czytelnikom wyobrażenie o doniosłości materii traktowanych w VI rozdziale, dozwalamy sobie kilka przytoczeń.

„Ciepłik w ciele ludzkim również może się zamienić na pracę, podobnie jak w maszynach parowych. D-r Hirn złożył sprawozdanie Akademii berlińskiej, że człowiek przy pracy (w pokoju ściśle zamkniętym) wydawał mniej ciepła niż to ma miejsce zwykle w stanie spoczynku... Znakomity fizyolog Bécłard, którego powaga naukowa powszechnie jest znana, złożył Akademii paryżkiej spostrzeżenia swoje,

z których okazuje się, że przy podejmowaniu ciężarów wydzielona ilość ciepła mniejsza jest aniżeli przy zwykłym kurczeniu się mięśni. Z tego Bécłard wyprowadza wniosek, że kurczenie się mięśni nie jest bynajmniej źródłem ciepła, jak to sądzą niektórzy fizyolodzy, lecz że w tym razie część tylko siły muskularnej nie zużytej na pracę, objawia się pod formą ciepła. Reszta ciepła zamienia się na siłę mięśni i jest zużyta na pracę, bądź wewnętrzną bądź zewnętrzną...

„Pokarm nasz dostając się do krwi, utlenia się w naczyniach kapilarnych w dalszej swój przemianie. Powstające skutkiem łączenia się z tlenem różnych pierwiastków działania chemiczne wywołują objawy ciepła. Ciepłik ten pobudza kurczenie się mięśni i zamienia się w nich na pracę mechaniczną. Mięśnie zatem spełniają funkcję podobną do funkcji pieca; — one to dają objawy ruchu i działania czynnego skutkiem ciepła. Z doświadczeń Hirna wiadomo dziś, że człowiek tylko nieznaczna ilość swego ciepła zużywa na siłę mechaniczną ($\frac{1}{5}$).

„W mózgu również produkuje się ciepłik w skutek związków chemicznych. Niewątpliwie jest pewny związek pomiędzy pracą wewnętrzną mózgu (ciepłikiem), wrażeniami i myślą, — lecz jaki jest ten związek, w przyszłości może dopiero zbadaniem będzie. Czy pierwotna praca mózgu produkowanie ciepła jest tylko warunkiem objawu myśli, czy też jej źródłem i przyczyną, jest to kwestya nierozwiązana wcale...

„Widzimy więc, że w ciągłej przemianie materii i siły panuje niezmienną niezachwiana harmonia. Materia nieustannie zmienia swą formę; siła nieustannie zmienia swój rodzaj ruchu, stan, z czynnego przechodząc do spoczynku, czyli z dynamicznego w stan potencyjny i odwrotnie, lecz natężenie pierwotne zawsze pozostaje tem samym... Jakkolwiek, mówi Bertin, możemy dziś przekształcać ruch, jesteśmy jednak zupełnie bezsilni, ażeby go stworzyć lub zniszczyć, zarówno jak nie możemy stworzyć ani zniszczyć materii.“ W ogólnej harmonii przyrody prawa pozostają niezmiennie. W naturze nieorganicznej siła ciągle zmienia swój ruch, w przyrodzie organicznej — formę; lecz tak w jednym jak w drugim razie ilość siły zostaje niezmienną. Z jednej wspólnej kosmicznej materii utworzyły się wszystkie pierwiastki, z jednego wspólnego ruchu powstały różnorodne siły przyrodzone. tak też z jednej wspólnej pierwotnej formy organicznej (monady) rozrodziły się wszystkie żyjące istoty.“ Otoż znowu twierdzenie jasne i stanowcze; ale jak tego dowieść?

Filozoficzny wniosek z powyższych przesłanek autor wyraża w następujących słowach: „Wszystkie światy od początku otrzymały pewny stopień sił przyrodzonych, które się objawiają w ciągu ich rozwoju; siły te nie mogą ani się powiększyć, ani zmniejszyć; może się tylko zmienić ich stan. Życie pierwotne na ziemi objawiło się w najniższej formie, której okazy zaginęły dla nas na zawsze; jednak natężenie potencyjne tych istot odpowiadać musiało zupełnie natężeniu objawiającemu się w żyjących dziś twórcach. Ten nieulegający przerwie związek istot organicznych między sobą łatwiej pojmujemy, gdy zbadamy stopniowy rozwój naszej ziemi i jej twórców.“ Autor więc w naturalnym następstwie przechodzi do dziejów ziemi.

Na czele rozdziału traktującego o kosmogonii autor stanowczo wypowiada zdanie: „że świat od początku ulegał tym samym prawom, które po dziś dzień rządzą w przyrodzie. „Nadprzyrodzony początek, powiada Feuerbach, koniecznie

wymaga nadprzyrodzonych następstw.“ Przyrodzone zjawiska czerpią jedynie swe źródło w przyczynach przyrodzonych... Nigdzie, jak słusznie mówi Büchner, w poszukiwaniach swoich przyrodniecy nie potrzebowali się odwoływać do nieznanego nam siły, nigdzie nie znaleziono dotąd śladów interwencji Wyższej, któraby wręcz przeciwny bieg rzeczom świata nadała. Ziemia tak samo jak inne planety ulega podwójnemu ruchowi; posiada światło odbite, atmosferę i istoty organiczne, których organizacja ściśle stosuje się do warunków tellurycznych planety. Tak samo jak dziś, tak samo i na początku siły jak światło, ciepło, elektryczność, ciężar, powinowactwo chemiczne, wywierały ten sam wpływ i ulegały tym samym niezmiennym i nieubłaganim prawom natury...“ Jednakże o kilka wierszy niżej autor znowu sięga do istoty nadprzyrodzonej pierwotnych przyczyn, twierdząc, że prawa tak mądre i następstwami logicznymi nacechowane, nie mogły powstać same przez się, że one mogą być tylko wynikiem Woli Najwyższej; „że kiedy siłę i materię uważać należy jako stworzone i obdarzone pewnymi własnościami na początku, dalszy ich rozwój jest tylko koniecznym następstwem tych samych pierwotnych przyczyn... Odtąd wszelka interwencja siły twórczej ustaje, bo dopuszczenie istnienia tej interwencji dowodziłoby tylko ciasnego pojęcia mądrości Boga, — potrzebującego nieustannie poprawiać i utrzymywać własne swoje dzieło...“ Czytelnik łatwo dopatrzy sprzeczności pomiędzy powyższymi zdaniami; a sprzeczność ta oczywiście ma źródło w pojęciu *początku*, które jako błędny pierwiastek wkradło się w zasadę rozumowania. Mówiąc o Bycie, wyrazi *początek* i *koniec* są niedorzecznościami. Czem jest Byt? — Wszystko co było, jest i będzie — nieskończoność i wieczność — wszędzie i zawsze — wszystko co rozumowi ludzkiemu wydaje się istnieniem, przestrzeniami i czasem, wszystko co objawia się nam istotami, miejscem lub chwilą. Świat (autor nadaje wyrażeniu temu znaczenie Bytu), objawiający się w ruchu bądź materii kosmicznej, bądź eteru, bądź innych form subtelniejszych, istniał, istnieje i będzie istniał wiecznie i nieskończenie... *Zawsze i wszędzie coś było i coś będzie.*

Nie potrzebujemy streszczać VII rozdziału. Autor korzystając z genialnej teorii Laplace'a, z badań Burmeister'a, Kirchhoff'a, Bunsen'a Faye'a i innych, treściwie i jasno wyklada teorię powstawania komet, formowania się słońca i stosunku ich pomiędzy sobą, tworzenia się planet i t. d. Zgodnie z Kirchhoffem utrzymuje, że słońce obecnie jest kulą rozpaloną w stanie płynnym, kula ta otoczona jest gęstą rozpaloną atmosferą, pochodzącą z jej jądra, skutkiem bardzo wysokiej temperatury masy tegoż jądra... Autor podziela domniemanie Burmeister'a, że środek ziemi jest metaliczny i że przeważnie z żelaza się składa... Pomijamy cały szereg prawd znanych, których zresztą niepodobna byłoby wypowiedzieć zwięźle od autora. Zaznaczmy tylko jedno przypuszczenie, zdaje się oryginalne. Autor mniema, że węgiel skryształizował się w dyament na drodze mokrej. Oto są jego słowa: „Gdyby węgiel krystalizował się w wysokiej temperaturze, nie moglibyśmy pojąć, jakim sposobem rozdzielone jego cząstki w masie roztopionego granitu mogły połączyć się z sobą... koniecznym następstwem znajdowania się jego w roztopionym granicie (przy tak wysokiej temperaturze i obecności tlenu), byłoby całkowite utlenienie się jego i przemiana na kwas węglany. Rozpuszczony w wodzie i w kwasie węglanym

węgiel krystalizował się stopniowo w miarę utleniania się kwasu węglowego... Obecność węgla w wodzie pierwotnych oceanów wyjaśnia podług autora inną jeszcze kwestję. Wiadomo z chemii, że tylko ciała atomistycznie podzielone łączyć się z sobą mogą. Węgiel, wodór i tlen, znajdując się w wodach oceanów pierwotnych, łatwo mogły dać, według nieznanych nam praw, początek życiu istot organicznych, które w najniższej swej formie złożone są wyłącznie z wodoru i węgla. Powyższa więc teoria wyjaśnia nam, dla czego dzisiaj, przy braku węgla w stanie atomistycznym, nie może mieć miejsca samorodztwo (jako *autogenia*) istot organicznych.

Rozdział zamyka się retorycznym finałem: „Najwznioślejszym zadaniem umysłu ludzkiego jest właśnie (?) wykrycie i zużytkowanie siły potencyjnej (potęgowej?) ciał przyrody. W tym celu tkwiąc główne zadanie celowości przyrody i istnienia człowieka. Wiek nasz pojął to zadanie. Przed milionem wieków nagromadzone skarby siły istotnej słońca w węglu kamiennym (jako jego siła potencyjna), znalazły olbrzymie zastosowanie do rozwoju i szczęścia ludzkości. Cywilizację naszą zwykle dzieli na trzy okresy: kamienny, brązowy i żelazny; wiek dzisiejszy stanowi rzecz można okres nowy, który okresem węgla nazwać można. W przyszłości zdaje się że przyjdzie czas okresu wody. W chwili gdy niebezpieczeństwo zastosowania wodoru, jako materiału palnego, będzie usunięte, ludzkość zapanuje nad najpotężniejszym z czynników natury.“

Mojem (sprawozdawcy) zdaniem, cel istnienia ludzkiego zależy w najdoskonalszym rozwoju postaciowości swojej, w podniesieniu stosunków rzeczowych do użyteczności iładu w doprowadzeniu osobowości do wszechogólnej zgody, w coraz wyższym rozwoju wyobraźni, umysłu, uczucia i woli, w coraz większym potęgowaniu rozsądku, rozumu, natchnienia i sumienia, w rozszerzaniu twórczości, wiedzy, wiary i cnoty, w poszukiwaniu piękna, prawdy, szczęścia i dobra, w kształceniu się, oświeceniu, doskonaleniu się i pracy. (d. c. n.)

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

STANOWISKO AKTORA W SPOŁECZEŃSTWIE. (*)

Do najwięcej cenionych nazwisk blisko do połowy XVIII stulecia, należą Pinedos; dosyć było tylko pochodzić z tej rodziny, aby być pewnym powodzenia na scenie.

Damian Arias de Penafiel, hiszpański Rosycusz, był nauczycielem pierwszych mówców hiszpańskich; książę Arcos dozwolił mu miejsca w grobie swojej rodziny.

Roqua de Figueroa, należał do szlachty, odebrał staranne naukowe wychowanie. Nakoniec Don Pedro Antonio de Castro, znakomity urzędnik i nadzieję pozyskania najwyższych godności, zmienił na zawód aktora.

Z kobiet wymienimy Maryę Riquelme, powszechnie wielbioną z talentu, wdzięku i cnoty. Kronikarz „Bractwa Najświętszej Panny” opowiada: „W roku 1631 Marya Riquelme weszła do Confradie. Dla jej piękności i zadziwiającego talentu przedstawiania prześladowań „kochanków” (naiwne upowszechnienie prawdy) by-

ła bardzo ganiona, ale nigdy nie słyszano nieubliżającego jej sławie, owszem wielbiono jej niezwykłą skromność i życie niemal świętą. Sławę tej skromności powiększył jeszcze cichy, pokutny pobyt w Barcelлонie, gdzie zamieszkała, opuściwszy teatr po śmierci męża. Umarła roku 1566.

Podobny wiodła żywot i Franciszka Battisara, która doszedłszy do zenitu sławy, nagle nie tylko opuściła zawód, ale nawet usunęła się ze świata. Zamieszkawszy pustynię, resztę dni spędziła w nabożnych rozmyślaniach i tak surowej pokucie, że ją uważano za błogosławioną. Jeden z ówczesnych autorów pisze: że przy jej śmierci dzwony same zadzwoniły, a przy pogrzebie stało się mnóstwo innych cudów. Życie i śmierć tej aktorki są osnową sztuki napisanej przez Guevara Antonio Coelo i Francisco de Rojas, pod tytułem: „La Baltasara.”

Z późniejszych aktorów, Sebastyan de Prado, wysoko ceniony dla moralności, szlachetnego sposobu myślenia w życiu prywatnym i talentu scenicznego, w końcu został mnichem w klasztorze w Madrycie. Marya Calderon, słynęła jako aktorka i ulubiona Filipa IV. Zostawszy matką, wstąpiła do klasztoru, aby pokutą wynagrodzić błędy poprzedniego życia; szanowana powszechnie, została przełożoną. Znaczna liczba hiszpańskich aktorów, kończyła życie w zakonnej sukni.

Obecone ich położenie towarzyskie trudne do oznaczenia, z powodu wojen domowych za Krysiny i Izabelli. Jednakże jeszcze w roku 1824 Ferdynand VII, pomimo że sprzyjał scenie, przeciw hrabi Fuentosowi kazał zwrócić klucz szambelański za to, że poślubił aktorkę.

Spojrzymy teraz na teatr w Ameryce. Aktorowie podobnie jak wszyscy mieszkańcy Zjednoczonych Stanów, myślą tylko o wielkim zarobku; dla tego sztukiem zajmują się o tyle jedynie, o ile zgodny z myślą wielkiego zarobku. Usprawiedliwiają ich stosunki kraju, w którym ten jedynie coś znaczy, który ma pieniądze, wiele pieniędzy. Najznakomitsi przedstawiciele sztuki w Ameryce: Edwin Forrest, Edwin Booth, John Owens (komik), Józef Jefferson i inni, początkowe swoje powodzenie zawdzięczają reklamie bez wyjątku.

Edwin Forrest, mający dziś lat 69, grywa od 1828 r. wyłącznie prawie w dziełach Szekspira. Bogato uposażony od natury głosem, postacią, silną budową ciała i niezwykajnymi zdolnościami, przedstawia z wielkim powodzeniem Otella, Koryolana, Lear'a, a ponieważ przez 25 lat był prawie jedynym artystą grywającym Szekspira w Ameryce, przeto dziś posiada miliony.

Edwin Booth, brat mordercy prezydenta, był nieznaczącym aktorem, aż do chwili smutnego wypadku. Pewnego dnia wyczytano w gazetach: „Edwin Booth przejęty zgrozą opuścił scenę.” Po jakimś czasie doniosły gazety: „Edwin Booth w Londynie przez rok cały poświęcał się studiom nad rolą Hamleta; dyrektorowi Wolffowi powiodło się wrócić scenie znakomitego artystę.” Przed samym wystąpieniem Edwina Bootha umieszczono w gazetach: „Edwin Booth nie używa farb do twarzy, pił ocet tak długo, że ma cerę prawdziwie hamletowską naturalną.” Faktem jest, że w r. 1866 grał w Nowym Yorku sto razy bez przerwy Hamleta, przyjmowany z zapalem.

Jefferson, w roli Irvinga Ripvan Winkle wzbudzał niewypowiedziany entuzjazm, przedstawiając w stuletnim śnie zbutwieniem i pleśnią zdziałane przeobrażenia, aż do najdrobniejszych szczegółów twarzy, głosu, ubioru, nawet rekwi-

zytów, i przez siedm lat grywał tę jedyną rolę we wszystkich stanach Ameryki, aż zrobił znaczny majątek.

Położenie towarzyskie artystów w Ameryce jest względne do pieniędzy, jakimi z nich który rozporządzać może. Wyróżnienia aktorów jako klasy oddzielnej, nie znają tam wcale. Ci, którzy w lecie zamieszkują wille, trzymają powozy, przyjmują w zimie liczne towarzystwa i mogą robić wydatki na równi z pieniężną arystokracją, żyją z nią razem. Ci zaś, których środki pieniężne nie pozwalają na zbytki, żyją w innych kółkach, przyjmowani wszędzie, bo w Ameryce nie znają różnicy stanu. Dla tego widzimy aktorów członkami rozmaitych klubów, towarzystw naukowych, wolnomularzy itp. Aktorki jednak inaczej są uważane, dla tego, że prywatnym życiem zbliżają się do znanego „demi-monde.”

Lessing powiedział: „My Niemcy nie możemy mieć narodowego teatru, bo nie jesteśmy narodem,” i w owym czasie była to przyczyna wyczerpująca. Polityczne rozdrobnienie, podobnie jak we Włoszech, nie pozwalało dojść do zesrodkowania się w jednej stolicy. Z tego powodu musimy szerszych badań szukać w pojedynczych państwach Niemiec, i wyznajemy, że nas dziwią spostrzeżenia: iż państwo uważane powszechnie za wieżę latarniową oświaty, w ustępstwach swoich dla artystów jest najsilniej zacofane.

Scena w Niemczech rozwinęła się podobnie jak w ościennych krajach, i tu zalewała ją powódź zakazów, obostrzeń, czuwań, wygnań i klątw. Najdawniejszy zakaz wydany był już za Karola W. Ale ponieważ wszelkie środki do powściągnięcia nieporządków okazały się bezskutecznymi, ponieważ duchowieństwo przekonało się o swojej niemocy, usiłując powstrzymać upodobanie w zabawach sceniczych, przeto uległo konieczności, chwytając się tego samego sposobu, w którym niejednokrotnie szukało pomocy, i samo zajęło się układem ulubionych misteryj. Jezuici kierowali głównie tą zabawą. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku napotykamy tworzenie się teatralnych towarzystw w celu zarobkowym, i tu widzimy przedewszystkiem tak nazwanych „angielskich komedyantów” w ich wędrówkach po Niemczech. Nawiasem przypominamy, że teatr niemiecki już był zarzucony mnóstwem obcych płodów, nim doszedł do narodowego wzmocnienia, i dla tego dopiero za Lessinga mógł nazwać się dojrziałym.

Pierwszą znakomitością był Magister Weltheim. Urodził się 1650 r., wykształcony, zebrał towarzystwo ze studentów, wkrótce zyskał nadzwyczajną sławę w całych Niemczech. Posiadając zaszczytne stanowisko, nieskażone obyczajem, umiał przenieść je i na członków swojego towarzystwa, którzy według licznych ówczesnych świadectw, odznaczali się moralnością, porządnym i pracowitym życiem. Zapewniają, że do któregośkolwiek miasta Weltheim zbliżał się magistrat wychodził na jego spotkanie, osypując towarzystwo całymi podarunkami i powinszowaniami.

Jednakże temuż samemu czcigodnemu Weltheimowi w Hamburgu, gdzie aktor był wyklęty jeszcze w 1692 r., odmówiono na śmiertelnym łożu komunii; żonie zaś jego w Magdeburgu, kiedy zachorowała i prosiła o pomoc religijną, żaden ksiądz nie chciał jej udzielić, dopóki pierwej nie wyrzekła się w przyszłości światowego sposobu życia. Kiedy w roku 1740 Eckhof wszedł do teatru, jeszcze sztukę dramatyczną uważano za swawolę, powątpiewając, czy ludzie sztuce tej oddani mogą być zbawieni.

(*) Według Adolfa Szwarza. „Deutsche Warte.”

Rozkazem wydanym dnia 20 Marca 1767 r. wszystkie teatry saskie, prócz dworskiego w Dreźnie, musiały królewskiej akeyzie opłacać podatek konsumcyjny jak od żywności i towarów, uważano bowiem teatr jako rzemiosło, co trwało aż do naszych czasów. Według prawa saskiego aktorowie nie mogli składać świadectwa w sądzie. W Lipsku podatek, o którym była mowa, wynosił 500 talarów rocznie; tam także aktorowi Szernickiemu współczesnemu Weltheima odmówiono przy śmierci pociechy religijnej.

Edykt Fryderyka Wilhelma wydany w Prusiech dnia 28 Stycznia 1716 r., zabraniający pobytu w kraju szarlatanom, kuglarzom i t. p., obejmuje i komedyantów. Jeszcze w roku 1721 w Królewcu nie pozwolono dawać publicznie przedstawień teatralnych, kładąc za powód, „że podobne widowiska są zepsuciem młodzieży.” Mógłże więc w takich okolicznościach zakwitnąć teatr? Musimy też wyznać, że scena niemiecka nigdy nie była w stanie zupełnie kwitnąć; bo nawet w chwili najwyższej działalności największego z dramaturgów Schillera, cierpiano Kotzebue'go, a co większa współubiegał się z nim zwycięzko.

W r. 1732 tenże sam Fryderyk Wilhelm I. udzielił Karolowi v. Eckenberg przywilej na pruskiego aktora dworu, a dnia 22 Grudnia t. r. wydał rozkaz, że pod karą wszystkie kollegia w Berlinie musiały kupować bilety i codziennie niektórzy z ich członków powinni kolejno jako delegowani znajdować się na widowiskach. Ale ta cieplarniana roślina łaski królewskiej, zawdzięczająca swój wzrost niezbyt szlachetnej pobudce, przy szczupłym współudziale publiczności, utrwalić się nie zdołała.

Wprawdzie Fryderyk II sprzyjał teatrowi, miał upodobanie szczególnie w operze, przecież Hielferding, aktor dworski w r. 1750, musiał prosić o pozwolenie na uczciwe pochowanie zwłok zmarłego towarzysza, „któremu czterech duchownych odmówiło pomocy religijnej na śmiertelnym łożu.” W roku 1776, w instrukcyi daney dyrektorowi francuzkiego teatru w Berlinie d. 12 Kwietnia t. r. czytamy: „Co się tyczy panien i komedyantek, poleca się wyszukiwanie dobrych i porządnych osób, a nieprzyjmowanie rozpustnych i złego prowadzenia, bo z tego znowu powstaną nieład, nieporządek i zły przykład dla innych.” W r. 1808 rozporządzenie wydane w Królewcu, mieściło jeszcze aktorów w jednej klasie z utrzymującymi domy szynkowe i inne.

W Bawaryi w r. 1842, aktorowie byli w liczbie najemników, i tylko aktorów w Ober-Ammergau przedstawiających Mękę Pańską, i tych; którzy grywali w Insbrucku chłopskie komedye, uważano za nieposzlakowanych, ponieważ to byli wieśniacy.

W Austrii, a szczególnie w chciwym zabaw Wiedniu, stan aktorów wcześniej daleko cieszył się życzliwą tolerancją. Wprawdzie jest rozkaz cesarza Ferdynanda III z 20 Lutego 1642 roku, zabraniający kuglarskich i innych rozpustnych zabaw, widowisk dawanych przez komedyantów, linoskoków, maryonetki, w czasie epidemii, zarazy i t. p., bo te odrzucają prosty lud uwodząc młodzież, obierają ich z pieniędzy.

Drugie rozporządzenie cesarza Leopolda w d. 12 Czerwca 1665 r., ponowione w r. 1671, poleca aby aktorowie opłacali pewną oznaczoną należność. W połowie XVIII wieku, kiedy improvizowane komedye ustąpiły miejsca porządnym przedstawieniom, zmieniła się i opinia o aktorach lubo przyjmowania ich w towarzystwach nastąpiło o wiele później. Sonnenfeld mówiąc o scenie wiedeńskiej z r. 1786, tak pisze: „Wprawdzie niemieckim aktorom już w chwili śmierci nie odmawiają świętych sakramentów, jednak przesąd w wielu domach trwa jeszcze. Przyjmują aktorów jako ludzi do bawienia innych, jako domowych trefniów. Rola upokarzająca dla uczciwego człowieka; i ta pogarda narodowych artystów (członków cesarskiego teatru w zamku) zadziwia tem więcej, że całe towarzystwo przyjmuje ich na scenie z dzieciinną niemal ubóstwieńiem. Szlachta usprawiedliwia się tem, że nie może przyjmować do magnackiego stołu ludzi, którzy wieczorem w szynkowniach zalewają sobie głowy.”

Według tych świadectw wypadek badań naszych nie bardzo jest pocieszający. W ogólności musiało się to ziścić jeszcze, co Geoffroy mówi w swoim *Cours de la littérature dramatique* (1819), że: do zawodu tego potrzeba koniecznie ludzi ognistych, namiętnych, którzy idąc za pościągami nieprzemyślanego popędu, lekceważyli przesąd i pogardę, i powodzeniem jedynie mogli uzyskać przebaczenie za obranie sobie tego stanu.

Ludzie spokojni, poważni, z natury niezdołni do żadnego artystycznego zawodu; dla tego uwzględniać należy pewną nerwową wrażliwość aktorów, jest bowiem nieco prawdy w wyrażeniu Voltaire'a: „Prawdziwy aktor musi mieć dyabła w swoim ciele.”

Ale właśnie to umieszczenie w sobie albo raczej to oddanie samego siebie dla przeistoczenia w inną osobę, było powodem, że spoglądano na aktorów z pewnym rodzajem obawy. To przedzierzgnięcie własnego Ja, aby zostać innym lub przynajmniej wydawać się innym, było rzeczą niepojętą dla prostego parafianina. Ale jakie chwalebne skutki ta sztuka uzdolnienia się do przedstawiania innych, sprowadziłyby mogła, czytamy w Ifflandzie: „Najpewniejszy sposób wydawania się uczciwym i szlachetnym, jest staranie usilne, aby nim być.” Edward Devrient tak komentuje ten ustęp: „Moralność w artyście wymaga się nie tylko jako przymiot człowieka, ale jako artystyczna konieczność. Właśnie to, co stan ten zwykle poniżało: iż oddać się musi własną osobistość do wykazania swojego talentu scenicznego, nawołuje i zmusza do wyższej moralności. (d. n.)

ROZMAITOŚCI.

— W miasteczku Romsey w Anglii wychodzi obecnie w drugim wydaniu książka, która nigdy nie była napisana. Drukarz Lordan, zjawisko osobliwe w swoim rodzaju, w piątym już roku życia był dosyć wprawnym zecerem, i jako zabawkę dzieciinną składał kolumny sążnistej pieśni Milтона z *Raju utraconego*. Po

dojściu do lat dojrzałych i rozwinięciu umysłu, nie pisząc wcale, ułożył przy kaszcie z głowy całą książkę — czeionki drukarskie służyły mu za pióro, a winkelak za papier. Książka ta po raz pierwszy wyszła w r. 1844 p. t. *Colloquies desultory, but chiefly upon poetry and poets* (Pogadanki o różnych różnościach, a zwłaszcza o poezyi i poetach). Po rozejściu się wieści o powtórnym wydaniu tej książki, niejaki p. Forster, z powołania dziennikarz, ogłosił w piśmie *Hants Guardian*, że dawno już artykuły wstępne do dzienników składa przy kaszcie z pamięci, nie uciekając się do pisanja. Według jego twierdzenia, przy wprawie w szybkim składaniu czeionek, czynność ta nie przeszkadza swobodnemu biegowi myśli.

OD WYDAWCY.

Wieniec wychodzić będzie w czwartym kwartale 1872 roku w tym samym formacie i treści, jak dotąd: dwa razy na tydzień jak najregularniej we Wtorek i Piątek każdego tygodnia.

Prenumerata w Warszawie wynosi:

rocznie rs. 5 k. 40.
półrocznie rs. 2 k. 70.
kwartalnie rs. 1 k. 35.
miesięcznie k. 45.

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie rs. 8.
półrocznie rs. 4.
kwartalnie rs. 2.

ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA

S. ORGELBRANDA

w 8-miu tomach

Dla nieprenumerujących Wieniec Encyklopedia kosztować będzie rs 16.

Dla prenumeratorów Wienca, o połowę zniżona, czyli rs. 8, zatem:

w Warszawie:

rocznie rs. 9 kop. 40, kwar. rs. 2 kop. 35.

na prowincyi:

rocznie rs. 13, kwartalnie rs. 3 kop. 25.

Uwaga I. Ponieważ Encyklopedia rozpoczęła wychodzić w kwartale II-gim r. b., przeto życzący takową posiadać od początku, raczą oprócz prenumeraty za kwartał przyszły nadesłać i należność za kwartały przeszłe.

Uwaga II. Osoby nie prenumerujące Wienca, zapłacą za każdy tom Encyklopedyi w Warszawie po rs. 2, na prowincyi po rs. 2 kop. 25.

Treść: O prośonym Chlebie, powieść Waleryi Marrené (Morzkowskiej) (c. d.) — Z podróży L. S. W. (dokończenie). — Naganka. — Stado krów na łące Alpejskiej. — Przegląd teatralny. — Kronika. — Przegląd literacki (c. d.) — Ze świata naukowego i społecznego. Stanowisko aktora w społeczeństwie (c. d.) — Rozmaitości. — Ogłoszenie. — **Ryciny:** Stado krów na łące Alpejskiej. — Naganka. —

Wydawca, HIPOLIT ORGELBRAND.

Доводено Цензурою, Варшава 24 Августа (5 Сентября) 1872 г.

Redaktor, MIECZYSLAW ORGELBRAND Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.